echa
IZERSKIE

Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

PARTNERSTWO IZERSKIE
Stowarzyszenie LGD

Kwartalnik „Stowarzyszenia LGD PARTNERSTWO IZERSKIE” • Nr 24 (2014)

Słowo od Redaktora

Grudniowe wydanie „Ech Izerskich” jest najczęściej trudne, bo wypada choć trochę nawiązać do efektów pracy minionego roku. W tym przypadku suma jest jeszcze trudniejsze, bo zbiegło się to z końcem kadencji i z wyborami władz miast i gmin i trzeba te sfery spraw jakoś pogodzić.

Chcemy – jako redakcja – być jak najdalsi od ocen, szczególnie personalnych. Demokracja ma bowiem to do siebie, że lokalne społeczności decydują się na wybór jakiejś opcji czy osoby albo biorąc pod uwagę racjonalne, albo emocjonalne przesłanki. W każdym przypadku ten wybór jest ostateczny i wynik nie podlega dyskusji, a już z pewnością – rewizji.

Życzymy wszystkim, by sprostali tym obowiązkom, które na siebie wzięli. Jedni z wójtów i burmistrzów mają pełną świadomość skali tych ciężarów, bo już wcześniej je dźwigali, drudzy zaczynają i są entuzjastami, gotowymi na wyzwania. W interesie ich wyborców wszystkim życzymy wszelkiej pomyślności w realizacji planów, a sukcesu życzymy równie gorąco wyborcom. Wbrew pozorom bowiem w zasadniczym stopniu sukces gminy zależy właśnie od wyborców i za cztery lata okaże się – czy dobrze wybrali.

Redaktor Naczelna
Bożena Mulik

Aby Święta były czasem radości, zgody i rodzinnego ciepła. Aby Nowy Rok był dla wszystkich szczodry w najlepsze emocje i doznania. Mieszkańcom i Przyjaciołom Pogórza Izerskiego życzymy spełnienia wszystkich oczekiwań i nieustannych uśmiechów losu, mając nadzieję, że pogoda ducha i szczęście będzie sprzyjało nam wszystkim

Zarząd Stowarzyszenia LGD
Partnerstwo Izerskie i Pracownicy Biura

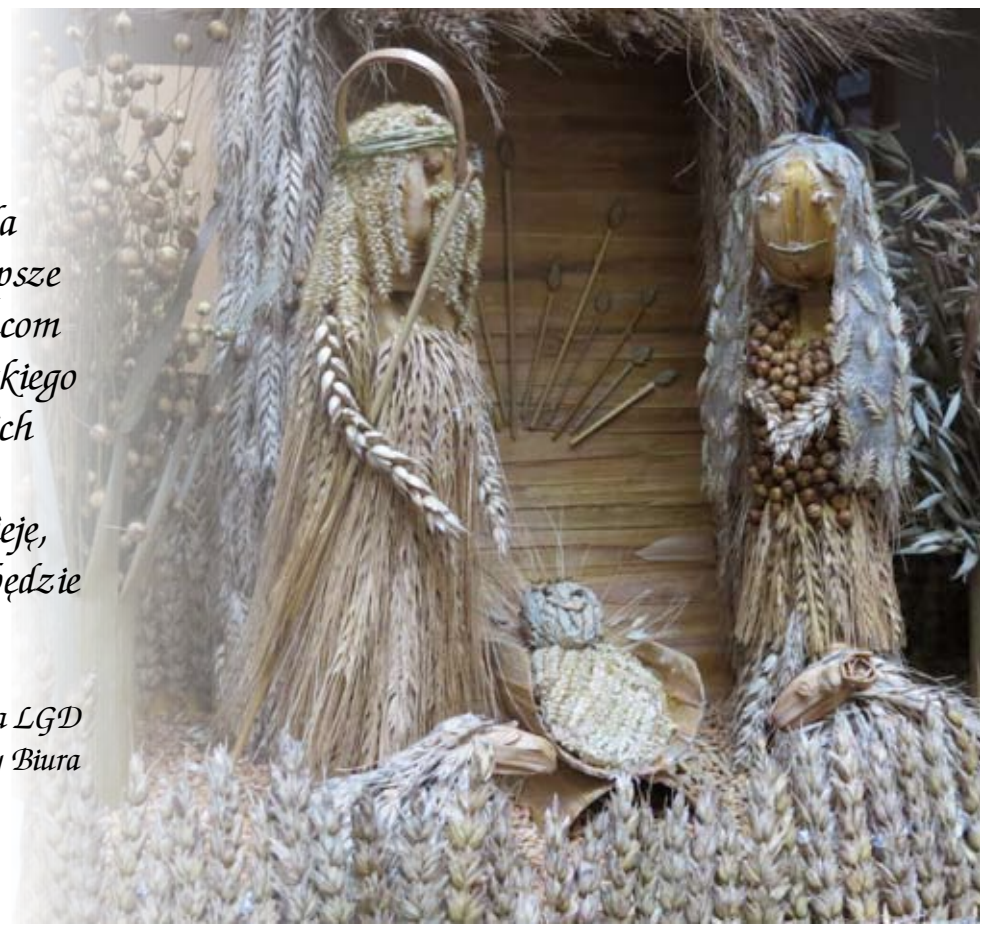

Na zdjęciu jedna z szopek wystawionych w konkursie we Lwówku Śląskim. O nim wewnątrz numeru.

Po wyborach, przed wyborami

W trakcie kampanii wyborczej jeden z liderów jednej partii (mniejsza o nazwę, o ani nazwa, ani sama partia nie mają większego znaczenia) zgłosił postulat „odświeżenia demokracji”. Jego bowiem zdaniem powinna wejść w życie ustawa, która uniemożliwia wójtom i burmistrzom, a także prezydentom miast pracę w okresie dłuższym, niż dwie kadencje. Tenże poseł nie był już taki odkrywczy, żeby zapisy proponowanej ustawy rozciągnąć na Sejm, czy Senat. Ograniczył się do samorządów lokalnych.

Prześledziliśmy, co by to znaczyło dla samorządów Pogórza Izerskiego? Akurat w naszym przypadku Pan Poseł trafił, jak kulą w płot. Z jednej bowiem strony odnotowaliśmy niespodziewane rozstrzygnięcia i przegrane w I turze bardzo wyrazistych osobowości (Ludwik Kaziów we Lwówku Śląskim nie wszedł nawet do II tury wyborów), a wyborcy miejscy zdominowali wiejskich we Wleniu i tym sposobem o ok. 50 głosów przegrał w II turze Bogdan Mościcki). Z drugiej strony jednak możemy wskazać liczniejsze przypadki, kiedy wójt czy burmistrz sam zrezygnował z kandydowania, mając inne plany życiowe (**Wojciech Poczynek** w Starej Kamienicy, czy absolutny rekordzista w pełnieniu obowiązków wójta – **Kazimierza Janik** z gminy Zgorzelec – więcej o Nim na stronie 2 tego wydania „Ech”).

Ale są i inni, a każdy z tych przypadków jest niezwykle interesujący i wszystkie one razem wzięte dowodzą, że pomysł Pana Posła jest nierozważny i sieje niepotrzebny wiatr.

(dok. na str. 2)

Audycja pod psem

... a właściwie z psem Bodzio. Ewelina Lichman z Gryfowa Śląskiego jest muzykiem, gra na instrumentach strunowych, komponuje, ale zajmuje się też z wielkim zaangażowaniem upowszechnianiem muzyki, w czym sekunduje jej Bodzio. Bodzio to pies, „współprowadzący” audycję „Tajniki muzyki i smyki” na kanale YouTube, najpewniej jeden z nielicznych ssaków w swoim gatunku, zaproszony do tej pracy. Jeśli dla naszych Czytelników ta notatka brzmi cokolwiek tajemniczo, to każdy sobie może wyjaśnić wszelkie szczegóły sprawy zaglądając na portal PolakPotrafi. Tam w dodatku będzie można wesprzeć projekt płyty edukacyjnej, jaką zamierza wydać Ewelina Lichman. Cały projekt ruszył w listopadzie, zakończy się w styczniu i każdy, kto tylko zechce może być jego współtwórcą.

Wszystko przemija

Było miasto i na odwrót

Historia uczy pokory, a rozwój społeczny i gospodarczy regionów nie oznacza, że wszystkie miejscowości zyskują. Schyłek roku jest dobrym czasem, by sobie z tego zdać sprawę, szczególnie na Pogórzu Izerskim, które całkiem niedawno (2005 r.) zyskało nowe miasto, bo Olszyna otrzymała decyzją Rządu RP status i prawa miejskie, ale... Swego czasu miastami na Pogórzu były też Złotniki, był Sulików, czy Pobiedna (o niej – na innych stronach tego wydania „Ech”). Sulików stracił najpóźniej, bo w 1945 r. prawa miejskie, choć goście wjeżdżający na sulikowski rynek mogą być przekonani, że znaleźli się w niewielkim, malowniczym miasteczku.

Pogórze Izerskie ma swojego

ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA

W okresie Świąt roi się od przebierańców, wielu przylepia sobie jakieś kłaczki, czy watę do twarzy i udaje świętego Mikołaja, pokrzykując „ho, ho, ho!” dla dodania sobie animuszu i powagi. Nic dziwnego, że dzieci się boją takich gości, bo z przebierańcami, którzy udają nigdy nic nie wiadomo.

Na Pogórzu Izerskim mamy swojego Świętego Mikołaja, który nie musi nikogo innego udawać, bo brodę ma naturalną, w dodatku tak mocną, że jak nawet wnuczka się na niej powiesi, to nic wielkiego się nie dzieje.

Marek Wąs z Wolimierza ma naturalnie tubalny głos i takiego „ho, ho, ho!”, jak on potrafi, to nawet Święty mógłby się nauczyć. Ciekawi jesteśmy kiedy pierwsze delegacje z izerskich przedszkoli wpadną na pomysł, by zaprosić Wąsa z brodą, żeby pokazał, jak powinien wyglądać najbardziej pożądany grudniowy mężczyzna? A o jednym Mikołaju, też świętym, w dodatku patronie jednego z kościołów izerskich – świątyni we Wleniui – i o samym wleńskim kościele możemy przeczytać wewnątrz numeru.

Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich

Epoka Janika Kazimierza

Niewielu wierzyło, że Kazimierz Janik zdecyduje się na to, by nie kandydować na funkcję wójta Gminy Zgorzelec po raz siódmy. I chociaż On sam o tym mówił od dawna, to i tak wszyscy czekali do ostatniej chwili, uznając, że Gmina Zgorzelec i Kazimierz Janik stanowią pewien komplet, jak klocki lego.

Ale... Komplet już jest inny, Kazimierza Janik znalazł inne pole dla swojej samorządowej aktywności i bez większego wysiłku kampanijnego został radnym Sejmiku Województwa Dolnośląskiego, jedynym z obszaru dawnego województwa jeleniogórskiego z listy lewicy.

A finałem jego niemal trzech dekad w Zgorzelcu był listopadowy benefis w łagowskim pałacu. Można powiedzieć – aktor schodził ze sceny w pałacowym stylu. Flesze, dywany i fajerwerki. Pożegnania były trzy – to znaczy jedno wielkie, ale w trzech odsłonach, jak na świetny spektakl przystało. Był akt „wspomnieniowy”, „dziękczynny” i „zabawowy”.

Przy okazji wspomnień udało się uchylić kurtynę wiadomości niemal intymnych. Ujawniono, co jubilat lubi, a co lubi jeszcze bardziej. Na przykład – „Czerwone Gitary” i ich muzykę z lat 70-tych (więc na benefisie zagrały „Elektryczne Gitary”, zespół, który jest spadkobiercą tamtych tradycji. Zaskoczeniem były gusta gastronomiczne K. Janika, bo okazało się, że ponad wszelkie kawiory, omułki, owoce mórz inne frykasy nowomodne przedkłada... bułkę z parówką oraz śledzie w śmietanie z ziemniakami. Faktem jest, że w trakcie przyjęcia na stołach widziano także inne dania i napoje. Nie tylko znana swego czasu herbata „ulung”, ale i zbliżonej do niej barwy „Ballentine’s” i inne takie, w końcu – show ma swoje prawa i wymagania.

W wywiadach wszystko wyszło na jaw – a że aktorką ulubioną jest Krystyna Janda, a serialem „Świat według Kiepskich” (dlaczego nie samorządowe „Rancho”? – zakrzyknęli zaskoczeni), więc aktorem Andrzej Grabowski, czyli Ferdek. Ten ostatni przekazał swój osobisty prezent dla Jubilata, bo organizatorzy benefisu zadbali o wszelkie szczegóły tej uroczystości.

To, że Kazimierz urodził się w Starym Lesie (to nazwa miejscowości w Opolskiem, a nie ostępu w dalekiej kniei) jest faktem znanym z życiorysu, niemniej pomimo usilnych starań zdjęcia łysego berbecia w beciku znaleźć się nie udało. Ale fakt, że w młodości grał w zespole muzycznym było dla wielu zaskoczeniem, podobnie, jak i inny – że sympatia do gitary w nim została, na dowód czego w domu ma gitar... siedem! Ale i dwa akordeony, jakieś „klawisze”, bo muzykuje nadal, w węższym już gronie.

Miał być ekonomistą, ale uznał, że to nudne, więc zainteresował się rolnictwem, a potem został stażystą z Zakładzie Ogniw i Baterii, skupiając się w pierwszej pracy – jak wyznał – na mierzeniu voltów. W napojach.

Może stąd znajomość ówczesna z kierownikiem Winiarni w Bogatyni, który zarekomendował go do pracy w Państwowym Ośrodku Maszyn w Zgorzelcu. Tu z kolei skoncentrował się na uczeniu syna dyrektora grania na gitarze, więc był wysoko cenionym pracownikiem i jako taki mógł sobie pozwolić na założenie zespołu muzycznego „Łużyczanie”, grającego na zabawach, co pozwoliło mu na poznanie problemów wiejskiego środowiska.

Potem ślub, dzieci i potrzeba powagi, więc zmiana pracy na PGR w Pisarzowicach i prawie osiem lat walki z przeciwnościami losu. Przeciwności były różne, o niektórych opowiadano podczas benefisu (jak choćby o tym, że w tamtejszym PGR funkcjonowała wówczas gorzelnia), a o innych opowiedział nam sam Jubilat w innej rozmowie. Wspominał wówczas, że relatywnie niezłe pobory, jakie mieli wówczas pracownicy PGR i starania, by ich poziom bytowy i standardy życia rosły szybko, powodowały przeróżne i niezwykłe sytuacje. Ludzie mieli pieniądze, więc kupowali rzeczy. Potrzebne, albo i mniej potrzebne. Byli i tacy, co kupowali np. duże lodówki (bo sąsiad miał też dużą), ale trzymali w niej śrubki i inne kombinerki, bo nie odczuwali potrzeby, żeby tam chować co innego. Po prostu – jak mówi się w nauce marksizmu – byt kształtuje świadomość, a że świadomość nie od razu nadąża za bytem, to zdarzały się – przejściowo – takie właśnie sytuacje.

Sekwencję o istnieniu gorzelni zespół „Elektryczne Gitary skwitował wykonaniem piosenki S. Krajewskiego do słów A. Osieckiej „Pijmy wino za kolegów” i wątku nie rozwijano, bo i po co?

Później była praca w RSP w Lubaniu z dygnitarską „Syrenką R-20” do dyspozycji, potem (a był to rok 1978) pierwsza praca dyrektorska. Kazimierz Janik został dyrektorem Spółdzielni Kółek Rolniczych w Leśnej. I było tak, jak to bywało w tamtym ustroju – status wyższy, pensja niższa. W piosenkach z tamtych lat śpiewano o awansach – „stracisz pan najwyżej tysiąc...” i to się sprawdziło m.in. w życiorysie Jubilata. Ale... wyniki pracy były z kolei tak wyróżniające, że minęły raptem dwa lata, a Kazimierz Janik został Naczelnikiem Gminy i Miasta Leśna.

Od tej pory niemal nieprzerwanie pracował jako szef administracji lokalnej, chociaż przecież do epoki samorządności było jeszcze daleko. – Trudny był czas prohibicji – wspomina ówczesny Naczelnik – bo i zaczęły obowiązywać kartki na wódkę, którą zresztą można było pić dopiero od godz. 13.00, co dla wielu było rygorem nie do zniesienia... Inna sprawa, że Naczelnik miał możliwość przydzielania dodatkowego alkoholu w uzasadnionych sytuacjach, więc udało się właśnie dzięki tym „sytuacjom” pozałatwiać wiele pilnych spraw urzędowych, m.in. sprowadzić... trzy niewielkie statki z „Odry” Wrocław, by pływały po Zalewie Leśniańskim.

Na marginesie

Młodzi ludzie nie pamiętają, że poza naszą narodową złotówką, o którą teraz walczy tak wielu patriotów, sprzeciwiając się wprowadzeniu euro, obowiązywały też inne waluty. Cenione były dolary, ale trudno je było oficjalnie posiadać, więc w obrocie były równoważne im „bony dolarowe”, którymi płaciło się w specjalnych sklepach – najpierw „Pewex”, a potem także „Baltona”. Były też ruble transferowe, które istniały tylko wirtualnie (chociaż nie było cyfrowej rzeczywistości), ale przeliczano na nie (z kontrolowaną stratą) transakcje międzynarodowe w bloku RWPG (co należy czytać jako Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej). W obiegu praktycznym zaś silną pozycję zdobywały kartki, początkowo tylko na cukier, potem też na mięso, czekoladę, alkohol, tkaniny i buty. Kartki na alkohol były najbardziej uniwersalnym środkiem płatniczym, bo można było nimi płacić za przeróżne usługi, albo wymieniać bez trudu na kartki na czekoladę. W drugą stronę to raczej nie działało – czekolady na alkohol wymienić się nie dawało. Inna sprawa, że poza kartkami trzeba było też mieć trochę pieniędzy, ale łatwiej było mieć pieniądze, niż kartki.

Na tle kartek dochodziło też do wielu trudnych sytuacji, m.in. takich, jak opisywane w tygodniku „Polityka”, kiedy to ujawniono, iż w jednym ze sklepów obuwniczych sprzedawano na kartki buty dla osób zmarłych wykonane z tektury, które się rozpadły przy pierwszym deszczu, choć wyglądały „na oko” solidnie”. Buty dla zmarłych można było kupić bez kartek, więc klienci czuli się bardzo oszukani, bowiem zostali – dosłownie i w przenośni – na lodzie, w dodatku bosą stopą. Ogólnie – panowało przekonanie, że nie ma jeszcze kompletnego kryzysu, tylko „przejściowe trudności gospodarcze”. Według dowcipnisiów kryzys miał ewentualnie nadejść w dniu, kiedy już wszystko będzie na kartki, a zabraknie... papieru.

Kazimierz Janik, doświadczony działacz gospodarczy bez trudu umiał odnaleźć się w dynamicznie transformowanej rzeczywistości. W 1984 t. przeprowadził się do Zgorzelca i tam podjął pracę w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej. Jako wiceprezes do spraw handlu poszerzył zdecydowanie spectrum działalności w zakresie nabiału, obracając dywanami z ówczesnej Fabryki Dywanów Smyrneńskich w Kowarach i poszukiwanymi przez Polki butami „salamandra” z NRD. Fabryka Dywanów nie istnieje, NRD też już nie ma, ale OSM, współkierowana wtedy przez Kazimierza Janika – nadal funkcjonuje. Każdy może sobie z tego wyciągać wnioski, jakie tylko chce.

W 1984 r. Kazimierz Janik został uhonorowany awansem i został Naczelnikiem Gminy Zgorzelec. Stracił – tradycyjnie – na poborach, tym razem ok. 2,5 raza, za to zyskał na statusie i stabilności. Ta ostatnia teza daje się potwierdzić empirycznie – po wielu zmianach środowiska zawodowego na tym ostatnim miejscu pracy miał szansę wykazywać się... 28 LAT!!! W tym – 24 lata w nowym, samorządowym ustroju Państwa. Sześć pełnych kadencji wójta Gminy Zgorzelec stało się jego udziałem, tyleż ognistych kampanii wyborczych. Uciekamy od porównań między Gminą i Miastem, ale trudno nie zauważyć, że tylko w pierwszej kadencji samorządu miejskiego zmieniło się.... czterech burmistrzów Zgorzelca. Kazimierz Janik przypatrywał się tym turbulencjom z dystansu. Emocjonalnego dystansu, bo przecież oba Urzędy dzieli odległość niespełna 2.000 metrów...

Wspomnień było w trakcie benefisu jeszcze wiele, bo przecież niezliczone są kontakty Kazimierza Janika z różnymi osobami, nie tylko w gminie. A te kontakty mają też niekiedy wielce oryginalne tło. Zrozumiałą jest sprawą, że Wójta i Proboszczów różnych parafii wiąże wiele spraw związanych z istnieniem lokalnych społeczności, ale proboszcza z Trójcy, Marka Reźnego z Kazimierzem Janikiem łączy także pasja do jazdy motocyklami i pielgrzymki na jednośladach do rozmaitych miejsc, nie tylko ośrodków kultu religijnego.

W odsłonie drugiej, mającej charakter podziękowań, było już bardziej serio, bo Jubilat otrzymał Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, odznakę za opiekę nad zabytkami, tytuł „Ambasadora Gminy”, a także wiele innych – w tym Kazimierza Wielkiego Odnowiciela.

Schyłek minionej właśnie kadencji – to czas, kiedy ze swoich funkcji odeszło kilkunastu wójtów i burmistrzów z obszaru byłego województwa jeleniogórskiego, z terenu objętego działaniem Partnerstwa Izerskiego. Odejście Kazimierza Janika jest szczególne, choćby dlatego, że właściwie nie odszedł z samorządności, a zmienił miejsce swojej dla niej pracy.

Faktem jest jednak, że Jego życiorys samorządowy jest szczególny, jak i szczególna jest Jego osobowość, rodzaj aktywności, umiejętność zachowania swoich przekonań (i funkcji) niezależnie od mód ideowych, jakie przepływały po samorządach, dewastując niekiedy ich najtwardsze – wydawałoby się – struktury.

W „Echach Izerskich” staramy się nie zajmować polityką. Zostawiamy to tym, którzy uważają, że się na niej wyznają, że są wybitnymi specjalistami analizy i marketingu politycznego. My tego robić nie będziemy. Zwracamy tylko uwagę, że pojawił się ostatnio postulat wysuwany przez jedną z partii politycznych, by ograniczyć liczbę kadencji wójtów, burmistrzów i prezydentów do co najwyżej dwóch, a potem bezwzględnie ich wymieniać na kogoś innego, niezależnie od efektów ich pracy. Czy ten postulat jest racjonalny i służy idei samorządności lokalnej – najlepiej można sobie samemu na to pytanie odpowiedzieć oceniając sześć kadencji samorządu Gminy Zgorzelec.

Po wyborach, przed wyborami

(dok. ze str. 1)

Zdecydowanym liderem w nieprzerwanej pracy wójta na Pogórzu Izerskim **Mirosław Haniszewski** z Warty Bolesławieckiej. Obowiązki wójta wykonuje od czerwca 1990 roku (ponad 24 lata!), a wcześniej był też przez kilka miesięcy naczelnikiem tej gminy. Podobną drogę ma za sobą także **Leszek Leśko**, burmistrz Olszyny, który pracuje już piątą kadencję, choć do roku 2005 był wójtem gminy wiejskiej, która wówczas zyskała – m.in. dzięki jego staraniom – prawa miejskie. **Leszek Leśko** miał jednokadencyjną przerwę, nie pełnił tych obowiązków w okresie 1990 – 1994, wcześniej także był dłuższy czas naczelnikiem gminy. Niezwykle oryginalnie sytuacja przedstawia się w Siekierczynie – tam **Janusz Niekrasz** właśnie rozpoczął siódmą kadencję pracy w charakterze wójta, dokładnie tak samo, jak jego partner w siekierczyńskiej działalności samorządowej, przewodniczący Rady Gminy – **Andrzej Kuźniar**. Obaj stanowią zwarty tandem, napisali nawet... przepiękną książkę o Siekierczynie, jedną z najbardziej efektownych, jaka ukazała się na Pogórzu Izerskim i traktuje o historii i współczesności tych ziem. To niezwykła rzadkość, nawet w skali kraju, że zarówno wójt, jak i przewodniczący rady przechodzą przez kolejne wybory, jak burza. A jest jeszcze **Olgierd Poniźnik** z Gryfowa Śląskiego, który swoją funkcję w Gryfowie pełni wprawdzie „dopiero” trzecią kadencję, ale wcześniej był prawie dwie kadencje burmistrzem sąsiedniego Lubomierza i odszedł z tej pracy tylko dlatego, że został wybrany posłem na Sejm RP.

A wybory dla każdego wójta to ostry sprawdzian nie tyle popularności, ile szacunku. Wójt M. Haniszewski, który poddał się ocenie wyborów sześciokrotnie nie miał konkurencji – w trakcie ostatniej kampanii nikt nie rywalizował z nim o stanowisko, ale... W takiej sytuacji ordynacja wyborcza przewiduje, że należy głosować „za” lub „przeciw” jedynemu kandydatowi i M. Haniszewski zdobył „tylko” niewiele ponad 86% głosów – oczywiście przeszedł w I turze. Olgied Poniźnik musiał sprężać się jeszcze bardziej. – To były moje trzecie wybory w Gryfowie i zawsze miałem konkurentów – mówi. – Za pierwszym razem pięciu, potem trzech, ostatnio – znowu pięciu. Także Leszek Leśko wygrał wyraźnie (ok. 60:40), ale dopiero w II turze.

O tym, jakim gospodarzem w oczach mieszkańców będzie wójt czy burmistrz okazuje się nie w przypadku pierwszych wyborów (tu czasami działa „efekt nowości”, kuszący niektórych przekornych członków elektoratu), ale drugie i kolejne. Wtedy bowiem wybiera się nie nadzieję i oczekiwania, a konkretnych ludzi, którzy mają jakieś dokonania (albo ich nie mają). Wszystkim nowowybranym życzymy sukcesów i będziemy im życzliwie kibicować, bo ich sukces będzie sukcesem gmin i społeczności tam mieszkających. Tym, którzy zostali wybrani po raz trzeci, czwarty, piąty, itd. tym bardziej tego życzymy, bo im lepiej pracowali w kadencji minionej, tym więcej się po nich oczekuje w następnej. Wyborcy zawsze mają „wilcze apetyty” niezależnie od tego, w jakiej kondycji jest ich gmina. Wie o tym każdy, kto choćby raz spróbował takie apetyty zaspokajać...

Minął wiek

Stulecie w Wieży

Urodziła się, gdy zaczynała się „wielka wojna", zwana dziś oficjalnie I wojną światową. A niedługo po jej zamążpójściu – zaczęła się II wojna światowa. Do krainy spokoju, jaką jawiły się Ziemie Odzyskane w oczach młodej, 31-letniej kobiety jechała w 1945 r. wraz z rodziną i przypadkowymi osobami pociągiem bydlęcym dwa miesiące z Kresów. Tam najpierw Niemcy, potem Ukraińcy a na końcu Rosjanie sprawili, że z wielu polskich wsi nie został kamień na kamieniu i ani jeden człowiek nie uszedł z życiem. Z Chabarówki w powiecie Kopyczyńce pod Tarnopolem przyjechały razem z nimi koń, krowa, dwa prosiaki, dwie kaczki, kaczor i sześć kur bez koguta.

Bronisława Ściban dotarła do Wieży pod Gryfowem i już się stąd nie ruszyła. W Wieży przeżyła prawie 70 lat, a właśnie 8 grudnia 2014 r. na zegarze jej życia wybiła... setka.

Trudno się dziwić, że mając taki życiorys pamięta się przede wszystkim wojny, tym bardziej, że – szczególnie druga – była wyjątkowo okrutna. Na Kresach rozkazy wydawane oddziałom UPA (Ukraińskiej Powstańczej Armii) nie pozostawiały cienia wątpliwości, że los Polaków jest tu przesądzony. Wyciąg z rozkazu dowództwa UPA, ujawniony przy jednej z okazji i opublikowany w periodykach Związku Ekspatriowanych z Czabarowski śle jasne przesłanie:

„projektuje się napady na wsie w biały dzień, a nie w nocy. Należy przyspieszyć likwidację Polaków, w pień wycinać, czysto polskie wsie palić, a w polsko-ukraińskich niszczyć ludność polską (...) za zamordowanie jednego Ukraińca czy to przez Polaka, czy przez Niemca – rozstrzelać stu Polaków (...)".

Ale wojna i Kresy, to czas młodości, więc i miłości. Narzeczony, potem mąż, który o rękę swojej wybranki starałsię7 lat, odrzucając „lepsze partie", wbrew woli swoich rodziców. Cierpliwie walczył, by w 1938 roku pojąć za żonę... Józef Ściban nie żyje już trzy dekady, ale w pamięci swojej sędziwej żony nadal jest najważniejszą postacią. I nic dziwnego – ona, czekając na niego, odrzuciła 14 konkurentów.

Bronisława Ściban nigdy nie pojechała na Ukrainę, żeby odwiedzić „stare kąty", choć przecież tam przeżyła miłość swego życia, tam urodził się syn, ale... Zbyt straszne wspomnienia płyną z Kresów. Jednak nie uogólnia, nie wini wszystkich tamtejszych za cierpienia, jakich doznawali Polacy w swoich wsiach, gdzie mieszkali od wieków. Wspominając to mówi, że byli i dobrzy, i źli Ukraińcy. Oczywiście – wymagało wielkiej odwagi cywilnej, by komuś pomagać w chwili zagrożenia życia, ale wielu taką odwagę przejawiało. To były czasy bezimiennych herosów, którzy czasami za swoją odwagę płacili życiem.

Na początku grudnia 2014 to Ona była najważniejsza. Z listami, kwiatami, drobnymi prezentami zjawiło się wielu ludzi, by pogratulować jej pięknego, choć niełatwego życia. Może właśnie dlatego tak pięknego, że było tak trudne.

Do ślubu w objęcia... śmierci

Narzeczeński Kamień nieopodal Świeradowa Zdroju

„Ślubna Droga" – to droga do śmierci. Dwoje młodych ludzi, którzy – jako narzeczeńska para – wyruszyło w góry tuż przed świętami Bożego Narodzenia, by wziąć ślub. Oboje zmarli z wychłodzenia. Czy zabłądzili w górach i zamarzli przy jednym z licznych głazów, który stał się symbolem ich miłości i śmierci? Czy może jedno z nich osłabło, a drugie zdecydowało się zostać i ogrzać, licząc, że powrócą siły do wędrówki? Dlaczego wyszli zimą w góry tuż przed swoim ślubem?

Cała ta sprawa jest nie do końca jasna, niemniej opowieści o tym dramatycznym zdarzeniu dotyczą skomplikowanych uwarunkowań uczuć młodzieńca z Brandenburgii i młodej kobiety ze Śląska. Miłość miała znaleźć swój szczęśliwy finał przed ołtarzem. Złożoność sprawy wynika m.in. z faktu, że w tej części dzisiejszego Dolnego Śląska żyli zarówno ewangelicy, jak i katolicy. Sprawa wiary traktowana była bardzo poważnie, a wierni do kościołów swoich wyznań mieli nierzadko daleko. W tym przypadku młodzi musieli przejść z okolic Szklarskiej Poręby aż do kościoła w Pobiednej

Wyruszyli ponoć rankiem, 21 grudnia 1720 r., by w odległym kościele w Pobiednej, z którego dziś pozostały już tylko ruiny wieży wziąć ślub, a potem swoją pierwszą małżeńską noc mieli spędzić u pastora. Planowali, że do domu wrócą dopiero następnego dnia. Ale nigdy nie dotarli nawet do kościoła. Znaleziono ich, gdy zaniepokojona przedłużającą się nieobecnością rodzina zdecydowała się na poszukiwania. Znaleziono wtedy splecione w uścisku ciała dwojga pod skałą, którą – na pamiątkę tej tragedii – nazwano Narzeczeńskim Kamieniem, a ścieżkę, którą szli – Ślubną Drogą.

Dziś, kiedy młode pary mogą wybierać między rozmaitymi środkami lokomocji i tylko wyjątkowo nieliczne decydują się na krótkie, symboliczne przejście pieszo z domu weselnego do kościoła – ta historia wydaje się być nieprawdopodobna, a przecież zdarzyła się naprawdę... Na jednym z głazów tej Drogi – Narzeczeńskim Kamieniu – zamontowano tablicę na pamiątkę tej historii. Czasami pochylają się nad nią narzeczeni i młodzi małżonkowie, którzy wędrówkę Ślubną Drogą traktują jak symboliczne potwierdzenie siły ich własnej miłości i witalności.

W powieści „Ślubna Droga" całą tę historię, uzupełnioną beletrystycznie opisała w połowie XX w. Margaret Passon-Drang, a przypomina ją ostatnio w swoich publikacjach Józef Gołba, gospodarz na Wysokim Kamieniu, jednym z bardziej nastrojowych schronisk izerskich.

„Baśniowe Święta" z... soli

IX Powiatowy Konkurs Twórczości Plastycznej w Lwówku Śląskim

W grudniową sobotę. w Szkole Podstawowej Nr 2 im. Bohaterów X Sudeckiej Dywizji Piechoty w Lwówku Śląskim miało miejsce podsumowanie IX Powiatowego Konkursu Twórczości Plastycznej „Dekoracje świąteczne z masy solnej – Baśniowe Święta".

W uroczystości wręczenia nagród i wyróżnień dla młodych twórców udział wzięli Poseł Zofia Czernow, przedstawiciele Starostwa Lwóweckiego, Gminy i Miasta Lwówek Śląski oraz laureaci konkursu wraz z rodzinami.

Do konkursu zgłosiło się 9 szkół z terenu powiatu lwóweckiego, w tym szkoły podstawowe z Wlenia, Lubomierza, Niwnic, SP Nr 3 filia w Zbylutowie, Płóczek Górnych, Giebułtowa, Gryfowa Śląskiego, Pławnej, Ubocza oraz główny organizator – SP Nr 2 z Lwówka Śląskiego.

Zgłoszone prace oceniane były w dwóch kategoriach wiekowych 6-9 lat oraz 10-12 lat.

W kategorii 6-9 lat miejsca na podium zajęli: **I i III miejsce** – Mateusz Suski i Oliwier Tyczkowski z SP 2 w Lwówku Śląskim, a **II miejsce** – Tomasz Sałaciak SP w Lubomierzu

dodatkowo przyznano także 10 wyróżnień.

Natomiast w kategorii 10-12 lat: **I miejsce** – Karolina Tarko SP 2 w Lwówku Śląski, **II miejsce** – Patrycja Sałaciak SP w Lubomierzu**, a III miejsce** – Cyryl Ganuszewicz SP we Wleniu, przyznano także 11 wyróżnień .

Ponadto w konkursie zostały przyznane nagrody specjalne. Poseł Zofia Czernow dodatkowo wyróżniła Agatę Pecold, uczennicę SP 2 w Lwówku Śląskim za przepięknie wykonaną choinkę.

Pokonkursową wystawę prac zorganizowano w Kościele pw. WNMP w Lwówku Śląskim.

Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich

O św. Mikołaju z Wlenia

W grudniu nie można nie pisać o św. Mikołaju, a kolejne wydanie „Ech Izerskich" ukazuje się właśnie w ostatnim miesiącu roku, więc i my o św. Mikołaju odrobinę, ale... Nie sięgamy jednek do opowieści o reniferach, a zapraszamy do... Wlenia. A dokładnie – do kościoła pw. św. Mikołaja.

To stary kościół. Historycy przekonują, że jego początki sięgają 1217 r. Wprawdzie świątynię przebudowano później kilkakrotnie, najpierw w XVIII w. (około 1731 r.), a potem w 1862 r. po pożarach i powodziach, które nękały to miasto, ale sporo elementów starszej budowli pozostało. Wleński kościół należy do tych obiektów sakralnych, w których naprzemiennie odprawiali nabożeństwa katolicy i ewangelicy. Obowiązująca przez wieki zasada – „czyja władza, tego religia" umożliwiała taki proceder.

U właśnie jeden z ewangelickich duchownych stał się w przenośni i dosłownie patronem swego kościoła. Joseph Tilgner (1775-1870) miał ponoć podać do sądu rząd królewski, który nie spieszył się z odbudową nadwątlonej ogniem i wodą świątyni. Czasy sprzyjały takim pozwom, bo w 1810 r. rząd pruski podjął decyzję o sekularyzacji majątków kościelnych i klasztornych, to znaczy przejęciu ich na rzecz państwa. Dziekan parafii wleńskiej uznał więc, że skoro rząd przejął prawa i pieniądze, to również musi mieć obowiązki. Kilka lat trwał proces, ale w konsekwencji został wygrany przez proboszcza. Wprawdzie sąd uznał, że i wierni muszą się dołożyć do wyposażenia i prac przy odbudowie, ale rząd winien na ten remont przeznaczyć wystarczającą sumę na odbudowę kościoła i plebanii. Wyliczono ją na blisko 25.000 ówczesnych talarów.

Stąd – poza wieżą z połowy XIII w. i elementami wyposażenia – kościół św. Mikołaja jest przykładem stylu neogotyckiego. Charakterystyczne i w zasadzie niespotykane w innych świątyniach jest powtarzający się motyw zdobniczy. Ten sam dla zwieńczenia ołtarza głównego, ołtarzy bocznych, ambony, witraży okiennych, organów, a nawet konfesjonału, czy kamiennej balustrady. Nic więc dziwnego, że można tenże motyw odnaleźć także na płycie

nagrobnej proboszcza, posadowionej w murze okalającym kościół. Rodzaj pamiątki po gospodarzu i swoiste podziękowanie dla tego, który sprawił, że świątynia przetrwała trudne czasy.

A były one niekiedy skrajnie trudne, co ilustruje miejscowe powiedzenie, że do tego kościoła niekiedy Bóbr na mszę przychodzi... Odnosi się ono do czasu powodzi. Zdarzało się bowiem, iż rzeka Bóbr, opływająca miasto niosła falę powodziową tak wysoko, iż zalewała ona kościół stojący nawet odrobinę wyżej niż samo miasto aż do wysokości ambony.

Biblioteczka Izerska

Kopalnia Gipsu i Anhydrytu „Nowy Ląd"

Kolejną książką dotyczącą spraw Pogórza Izerskiego, która ukazała się nakładem wydawnictwa Archiwum-System jest pozycja pod tytułem „Dzieje Kopalni Gipsu i Anhydrytu „Nowy Ląd" w Niwnicach". Trójka autorów – Robert Primke, Maciej i Wojciech Szczerepa – korzystając ze wsparcia Grupy ATLAS przygotowała monografię kopalni, której początki sięgają przełomu XVII/XVIII wieku. Trudno jednak wskazać dokładną datę jej powstania. Wiadomo z całą pewnością, że w 1765 r. w odkrywkowej wówczas kopalni pracowało co najmniej 21 górników. Ilu ich było wcześniej, i co to znaczy w tym przypadku „wcześniej" – pewnie się już nie dowiemy.

W kolejnych okresach (1826, później 1870) poszerzano kopalnię, rozbudowywano młyny, budowano prażalnię gipsu, powstała kolejka wąskotorowa między nimi, w kolejnych dekadach zwiększano wydobycie, wdrażając metodę górniczą. A kiedy w roku 1904 Niwnice uzyskało połączenie kolejowe ze Lwówkiem Śląskim i Zebrzydową, to przed właścicielami kopalni i przetwórni otworzyły się nowe, odległe rynki.

W trakcie I wojny światowej Niemcy zdecydowali o zatrudnieniu w kopalniach jeńców wojennych, a produkcja gipsu wzrosła do 3.000 ton rocznie. Niezbędny był do wytwarzania kwasu siarkowego i cementu na potrzeby budowy wojennych fortyfikacji. Po okresie międzywojennego kryzysu następna wojna sprawiła, że kopalnia niwnicka znowu stała się punktem zainteresowania wojskowych i władz państwa.

Okazało się jednak, że nie można było wtedy pogodzić rozmaitych elementów produkcji. Portfel zamówień był pełen, ale brakowało wszystkiego – jeńców i robotników przymusowych, wagonów do transportu, paliwa do maszyn, i in. Firma mając przepełnione silosy i cierpiąc na brak wagonów musiała godzić się z tym, że zabierano jej przyuczonych pracowników i w gruncie rzeczy nie realizowała rosnących zamówień, szczególnie od 1942 r.

Tylko od lutego do sierpnia 1945 r. trwała powojenna przerwa w pracy kopalni, ale pierwsze partie gipsu wyprodukowano właściwie już w maju 1945. Zniszczenie i rozkradzenie większości urządzeń sprawiło, że ważna dla gospodarki Polski kopalnia pracowała przez niemal dekadę w pewnym chaosie organizacyjno-technologicznym. Ale... w 1950 roku Państwowa Gipsowania (bo taką nazwę nosił zakład) wyprodukowała 8500 ton gipsu sztukatorskiego oraz 5.600 ton modelarskiego.

Książka jest swoistą monografią jednego z niezbyt licznych takich zakładów w Polsce, a jedynego – na Pogórzu Izerskim. Warto sobie zresztą uświadomić, szczególnie w grudniu, miesiącu szczególnym dla górników, że właśnie w naszym obszarze pracy górników nie brakuje, i to różnych specjalności. W Siekierczynie ślady po górnictwie węgla brunatnego są wciąż widoczne, choć kopalnie przeszły do historii, kopalnie glinki kaolinowej w Nowogrodźcu wciąż pracują, gmina Warta Bolesławiecka żyje relatywnie zamożnie dzięki górnictwu wapienia, kopalnie surowców skalnych – bazaltu czy piaskowca – przynoszą dochody gminom Leśna i Lwówek Śląski...

Wprawdzie Polacy Barbórkę utożsamiają głównie z górnictwem węgla kamiennego, ale to jest bardzo niesprawiedliwe i powierzchowne.

Setkom górników Pogórza Izerskiego składamy nieco spóźnione (bo cykl druku kwartalnika, jakim są „Echa Izerskie" nie daje nam szans, by zdążyć), ale bardzo serdecznie życzenia spokojnej i bezpiecznej pracy.

A książkę o kopalni „Nowy Ląd" rekomendujemy do Biblioteczki Izerskiej.

Izerska perła nad Kocim Potokiem

Zawidów pełen sekretów i symboli

Zawidów – to raptem niespełna 5-tysięczne miasteczko, (dokładnie – 4.350 osób), z którego wszędzie jest na tyle blisko, że wystarczy właściwie rower, żeby za niedługi czas znaleźć się w innym kraju, a wystarczy chwila refleksji, by znaleźć się w innej rzeczywistości.

To w Zawidowie (dokładnie – w Starym Zawidowie, którzy dziś należy do gminy Sulików, co jest dziwacznym rozstrzygnięciem administracyjnym) urodził się (wprawdzie dość dawno, bo w XVI w.), Jakub Boehme,. Nadał on luteranizmowi, nowej wówczas religii, odświeżony wizerunek. Zwykły szewc stał się osobą stanowiącą punkt odniesienia dla refleksji największych filozofów nie tylko swoich czasów. A Koci Potok płynący nieopodal stał się nieco później źródłem cennych pereł, bo było to dawniej jedno z nielicznych, a dziś – bodaj jedyne – miejsce w Polsce gdzie występował małż, „perłoródka rzeczna", jedyny słodkowodny, który wytwarza szlachetne perły.

Ten, kto uważa Zawidów za miasto „przelotowe", które mija w drodze do czeskich zamków, albo niemieckich miasteczek myli się głęboko, bo warto tu zajechać na choćby krótko. Takich miasteczek, gdzie życie toczy się w innym rytmie, niż w zagonionych miastach, pozostało już niewiele. Taki jest Zawidów, Mirsk, Lubomierz... Mamy co oglądać.

A mistyki i symboli nadal tutaj nie brakuje. Najlepszym ich przykładem jest bicie dzwonów, których... już nie ma! Wciąż bowiem można usłyszeć w południe w Zawidowie dźwięk dzwonów kościoła ewangelickiego, chociaż z samego kościoła dotrwała do naszych czasów już tylko wieża, a dzwony zniknęły z niej w okresie ostatniej wojny. Czy zabrano na potrzeby niemieckiej armii i przetopiono – być może na broń – w 1942 roku? Jest też bowiem inna wersja – że u schyłku wojny ktoś je wywiózł i nadal wybijają godziny, choć już w innej zawieszone są wieży. Ale ich dźwięk zachował się w prywatnych nagraniach byłych mieszkańców. Swego czasu, a było to ok. 2003 roku ówczesny burmistrz miasteczka, Józef Sontowski zainicjował cykl spotkań z byłymi niemieckimi mieszkańcami Zawidowa, skupionymi w Seidenbergen Gruppe. Otrzymał wówczas nagranie bicia wieżowych dzwonów. Potem, z użyciem najnowocześniejszego sprzętu „oczyszczono" je, by można było odtwarzać ten dźwięk przez głośniki, zainstalowane w trakcie

Fragment Rynku w Zawidowie, w tle – wieża po nieistniejącym kościele ewangelickim.

remontu wieży. Zapis tego udało się przetworzyć w taki sposób, że można go dziś znowu tak prezentować, by w początkach XXI w. znowu słyszało go całe miasto...

Na marginesie: ewangelicka wieża i zainstalowane tam urządzenia służą nie tylko jeden raz dziennie w samo południe. O godzinie 21.37, w symbolicznie pojmowanym momencie śmierci Jana Pawła II z wieży słychać melodię „Barki", jednej z ulubionych pieśni papieża. W okresie poprzedzającym święta Bożego Narodzenia – melodie kolęd. Przy sprzyjającym kierunku wiatru (bo i to ma znaczenie) wszystkie te melodie słyszane są niemal w całym mieście, aż po najdalsze rogatki.

Osiem w tym trzy

Osiem miejscowości w Polsce nosi nazwę Pisarzowice, w tym trzy na Dolnym Śląsku (w powiatach Środa Śląska, Kamienna Góra i – oczywiście – Lubań. Dla nas na Pogórzu nie ma ważniejszych Pisarzowic, niż nasze.

Po prostu – dziewczyny, to „Dziewczyny"

Życie między nutami

Jaką nazwę może nosić kwartet czterech śpiewających dziewczyn? – Każdą – powiedział nam znawca kobiet, dodając, że wyobraźnia młodych kobiet nie zna żadnej granicy, ale zapewne trudno było wynegocjować nazwę tego zespołu, skoro są cztery dziewczyny. Każda pewnie miała swój pomysł.

– Jakoś poszło – powiedziały nam Eliza Niebieszczańska z Barcinka i Natalia Lis z Piechowic, połowa kwartetu, którą (tę połowę) spotkaliśmy podczas jednego z przedświątecznych koncertów w Kromnowie. – Dogadałyśmy się i nazywamy się po prostu... „Dziewczyny": większych sporów nie było. Chociaż jest trochę racji w tym, że nie zawsze osiągnięcie concensusu w naszych dyskusjach jest proste. Ale to jest przecież zespół, w dodatku – muzyczny, więc „wszystko gra". Dochodzimy do porozumienia i mamy na to dowody.

Tymczasem są to cztery dowody, bo „Dziewczyny" zaprezentowały już cztery „tematyczne" koncerty. W kolejności było to „Ludzkie gadanie" – piosenki do tekstów Agnieszki Osieckiej, „Do zakochania jeden krok", przygotowany z okazji „walentynek", „Autostopem do PRL-u", (w tym przypadku tytuł ilustruje repertuar) i „Niektórych nie znamy", zbiór utworów nieżyjących już piosenkarzy, w tym Marka Grechuty, Czesława Niemena...

– To bardzo trudny repertuar... Niemen nie należy do autorów, których łatwo interpretować.

– Ale może dlatego jest kuszący – mówią. – Zresztą, wykorzystujemy to, że możemy śpiewać i razem, i solo, więc wybieramy z repertuaru różnych twórców o to, co odpowiada nam wszystkim, i to co poszczególnym nam osobno. Poznałyśmy się w cieplickiej „Przystani Twórczej", podczas warsztatów piosenki. Podoba się nam ten sam subtelny nastrój i poetyckość tego nurtu muzyki (chociaż raczej nie jest to tzw. poezja śpiewana). Lubimy piosenki liryczne, które opisują rzeczywistość delikatnie, więc ciężki rock, czy metal – to nie dla nas. A odczuwamy podczas naszych koncertów, że właśnie taką muzykę lubią też ci, którzy nas słuchają.

„Dziewczyny" nie planują przyszłości na dekady wprzód, więc trudno przewidzieć, czy związą dalszą przyszłość z muzyką, ale z pewnością nie zamierzają – póki co – rozstawać się ani ze sobą, ani z estradą. Z pewnością kolejny koncert planowany jest na wiosnę 2015 i pewnie odbędzie się także w Kromnowie, w Izerskiej Galerii Artystycznej. Warto więc śledzić notatki na FB, by nie przegapić tego występu.

Od lewej – Eliza Niebieszczańska i Natalia Lis

Zawsze więcej przed nami, niż za...

W Lubomierzu

– Niezależnie od tego, co zrobiliśmy, zawsze program tego, co powinniśmy zrobić jest szerszy – Wiesław Ziółkowski, burmistrz Lubomierza, wie najlepiej, jak bardzo niecierpliwi w oczekiwaniu na pożądane zmiany są mieszkańcu. – Gdybym miał powiedzieć o tych sprawach, które uznawaliśmy za potrzebne w minionym czteroleciu, to z pewnością byłyby drogi (w tym Lubomierz Chmieleń i Lubomierz Pławna, szczególnie ta pierwsza była w wyjątkowo marnym stanie). Remonty dróg to sprawa skomplikowana, choćby z tego powodu, że wiele z nich ma rangę powiatową, ale jeśli gmina się do remontów nie dołoży, to powiat pracy podejmować się nie będzie. I dlatego 600 tys. zł z nie za wielkiego budżetu Lubomierza tylko w ub. roku poszło na drogi inne, niż gminne. Ale ważne dla mieszkańców. Wyremontowano dachy na szkołach, zniknął eternit, zmodernizowano oczyszczalnię ścieków, która przecież została zbudowana relatywnie niedawno, ale... minęło już z górą 20 lat od tej inwestycji. A wodociągowanie i kanalizacja sporego kwartału zabudowy w mieście oznacza w praktyce, że do Olzy przestaną płynąć fekalia. A przyszłość?

– Będziemy dzielić naszą uwagę i pieniądze na dwie sfery – materii, i trochę ducha – zapowiada W. Ziółkowski. – Ale czasami te sfery się przenikają. Najprawdopodobniej zmieni się rynek. Pozostanie wprawdzie charakterystyczna na dla nas kostka bazaltowa, ale będzie przełożona, bo za wiele jest zapadlisk. A pod nią będą już nowe sieci, bo chcielibyśmy wykorzystać okazję, by zmodernizować oświetlenie, telefonię, itp. Powstaną – też przy okazji przebudowy nawierzchni – ciągi piesze, najprawdopodobniej będziemy starać się, by odtworzyć dawną studnię miejską, istniejącą nieopodal grupy figur morowych, z pewnością w rynku przybędzie zieleni. Zmodernizowany zostanie zabytkowy kamienny most na drodze do Jeleniej Góry. Chcemy stworzyć ścieżkę rowerową Pławna – Lubomierz, w perspektywie przedłużyć ją później do Gryfowa. I termomodernizacja obiektów publicznej użyteczności. To hasło na kilka słów, ale skóra cierpnie, kiedy mówimy o szczegółach, bo jeśli pod tym hasłem rozumiemy też wymianę okien, to musimy przewidywać, że to będzie... kilkaset okien! Kiedyś jednak trzeba to zrobić, tym bardziej, że jednorazowy wydatek pozwoli na spore późniejsze oszczędności, choćby w opłatach za ogrzewanie. Czy to jest program efektowny? – pewnie nie, ale życie nie składa się z fajerwerków. One są tylko dodatkiem do codzienności.

Biblioteczka Izerska

Ciekawy świat przyrody w Izerskiej Krainie

O ile inne książki, wymienione w tej notce o kolejnych publikacjach dotyczących spraw Pogórza Izerskiego to wydawnictwa sławiące Pogórze, wydane sumptem Autorów, to książeczka „Ciekawy świat przyrody..." jest publikacją sygnowaną przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie.

W dodatku jest to książeczka, która z jednej strony popularyzuje pozornie powszechnie znane gatunki drzew, ale z drugiej opisuje te obiekty przyrodnicze Pogórza, które mają już faktyczne uprawnienia do zaliczenia ich do zabytków przyrody, ale jeszcze formalnie ich nie uzyskały. W dodatku – opisy dendrologiczne, dokonane przez specjalistę, mają charakter wyjątkowo szczegółowy. Dopiski zaś, dotyczące symboliki tych roślin, są wyjątkowo intrygujące. Odnoszą się i do horoskopów, i do „udziału" drzew tych gatunków w twórczości filmowej, i do mitologii, nie tylko zresztą greckiej.

Biorąc za przykład wiąz holenderski rosnący w Kościelniku możemy się dowiedzieć jaki ma obwód pierśnicy, na jakiej wysokości osadzona jest korona, jaka jest wysokość drzewa (32 m, więc ponad 12 pięter typowego bloku mieszkalnego), czy jaki jest jego stan witalny według różnych skal naukowych, w tym Roloffa, Pacyniaka i Smólskiego.

A z drugiej strony dowiadujemy się, że wiąz – wg horoskopu Celtów – wskazuje naturę prostolinijną i szczerą, budzi ufność, choć bywa niekiedy despotyczny, ale w uczuciach – namiętny i żarliwy. Wprawdzie człowiek-wiąz nie ma „końskiego zdrowia", ale też żyje raczej długo i bez większych wstrząsów, co powinno uspokajać ludzi urodzonych w okresie między 12 i 24 stycznia oraz 15 i 25 lipca. Mitologia skandynawska przekonuje, że pierwsza kobieta powstała z drewna wiązu (mężczyzna – z jesionu). A co do filmów – to drzewo tego gatunku jest m.in. bohaterem kinowego horroru – „Koszmar z ulicy Wiązów".

W analogiczny sposób opisane są i lipa drobnolistna z Jałowca, i cis pospolity z Golejowa, i dąb szypułkowy z Wlenia, czy magnolia parasolowata z Pobiednej. W jednej książeczce zmieściło się szesnaście takich opisów, do lektury których serdecznie zachęcamy. Fachowych opisów dokonał Tomasz Pawlak, znany bardziej z zamiłowania do lawendy (prowadzi gospodarstwo „Izerska Lawenda", ale – jak się okazuje – jest także świetnym znawcą roślin zbudowanych „solidniej", niż lawenda.

Z myśliwskiej szkatułki i... kociołka, część III

„Rzekła raz do lochy locha/Ty mi tu nie strzelaj focha

Nie przebieraj, bierz jak leci/ bo nie będziesz miała dzieci

Nie spróbujesz – nie dostaniesz/ i padniesz w dziewiczym stanie"

To tylko jedna z fraszek Anny Marii Sumińskiej (Łąckiej), opublikowanych w trzeciej (już!!!) części opowieści „Z myśliwskiej szkatułki". Tym razem Autorka dodała też przepisy potraw z dziczyzny, więc i tytuł został uzupełniony o „kociołek".

Bardzo lekko się czyta tę książeczkę, a jej szczególną zaletą jest, że można lekturę rozpocząć od początku, albo od końca, czy od środka – w żadnym przypadku nie traci się smaczków tej bezpretensjonalnej narracji, ani też aury wtajemniczenia w myśliwski slang.

Autorka nie ukrywa, że swego czasu sporo polowała, i że jej kobieca natura nie kłóciła się z tym, by strzelać do dzików, czy głuszców. Ale też ujawnia, że bieganie ze strzelbą po lesie nie oznacza, że w oczach każdego myśliwego tli się żądza mordu, a na widok koziołka, czy kaczki myśliwy reaguje, jak szeryf z westernu i strzela, nim pomyśli.

W dodatku okazuje się, że świat leśnych zwierząt jest niepokojąco bliski charakterowi ludzi, a w każdym razie – łatwo o analogie, niekiedy dość pikantne, jak choćby w takim limeryku:

„W leśnictwie koło Jaworza
Mieszkała dziewczyna hoża
Spotkała łowcę
I pod jałowcem
Dopadła ją wola boża".

Wędrówki po lesie sprzyjają jednak także refleksji i obserwacji, a jeśli ktoś – jak Pani Anna – potrafi bawić się językiem polskim, to pojawiają się w niektórych wierszach słowa, które wręcz malują obrazy, jak choćby jesienna „deszczomglistość", czy ściana lasu – „złotokapie".

Można więc – tropiąc leśną zwierzynę, przeżywać tę wędrówkę przez chaszcze inaczej, niż mając wzrok wbity w ślady racic, czy pazurów, ot choćby widząc las w takim nastroju:

„szaromglisty opar z bagien dymnym wypływa jęzorem,

Przyszła jesień dżdżem kroplista, szumią drzewa czarnokore..."

Jedni będą czytać erotyzujące fraszki, drudzy – myśliwskie anegdoty, inni – wiersze, napisane oryginalnym językiem, a większość – wszystko, ciurkiem, jak barwną opowieść myśliwych przy kominku, bo taka właśnie to jest książeczka.

Anna Maria Sumińska (Łącka), Wydawnictwo ADREM Jelenia Góra, 2014

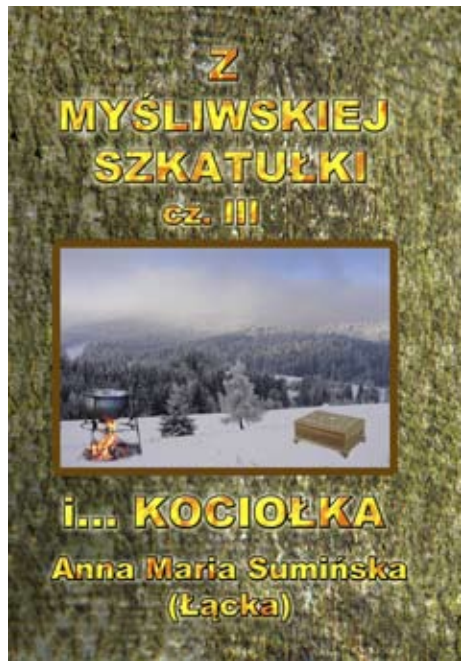

Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich

Delegacja ze Wsi Skrzatów

Jak rodziły się izerskie skrzaty?

Jolanta Mankiewicz i Jolanta Jankowska – obie z Płuczek Górnych – nie od dziś stanowią żywą reklamę swojej wsi, a ich charakterystyczne kapelusze (nie zawsze te same, bo różnią się kolorem, ale zawsze w tym samym fasonie) przyciągają uwagę.

J. Mankiewicz poznaliśmy i prezentowaliśmy już kilka lat temu jako twórczynię charakterystycznych postaci skrzatów. Jako zawodowy leśnik ma szczególną umiejętność poszukiwania ciekawych pni drzew, które potem pracowicie adaptuje na siedziby skrzatów, jakie sama wykonuje z oryginalnych cząstek gałęzi i kilku szmatek. Uczciwie trzeba przyznać, że to jej pomysł zainspirował nas do napisania pierwszej części „Opowieści izerskich skrzatów”. Potem powstała druga część tej książeczki, powoli kluje się następna. A „Opowieści...” z kolei sprawiły, że

przedszkole w Mirsku po lekturze tej książeczki przyjęło nazwę „Skrzatów Izerskich”, później jeszcze Partnerstwo zaopatrzyło się w charakterystyczne „skrzacie” ubiory, które budzą pełne życzliwości zainteresowanie podczas różnych spotkań, plenerowych i uroczystych.

Przypominamy o tym z kilku powodów – po pierwsze, żeby oddać zasługi temu (tej), komu się należą, bo najważniejszy jest pomysł. Po drugie – żeby pokazać wszystkim, że warto być nowatorem, bowiem czasami niby błaha i niepoważna idea staje się podstawą do kreowania efektownej i sympatycznej rzeczywistości. A po trzecie – żeby u schyłku kolejnego roku istnienia Partnerstwa Izerskiego unaocznić wszem i wobec, że nic nie dzieje się z nagła i w czasie, który minął powstawały nowe wartości, a od naszej wspólnej cierpliwości i zaangażowania zależy, czy będą one trwałe, czy ulotne. I zawsze warto wiedzieć, gdzie jest ich źródło...

Strażak nie może kalkulować

– Pana portret, strażaka-ochotnika z OSP Kromnów w gminie Stara Kamienica otwiera kalendarz Ochotniczych Straży Pożarnych ma rok 2015...

– Decyzję w tej sprawie podjął Komendant, Jerzy Sładczyk – odpowiedział Marcin Szczap. – To oczywiście bardzo miłe, ale myślę, że jest wielu kolegów, a przede wszystkim – koleżanek, których portrety mogłyby być na tym miejscu. Rok temu była koleżanka z Łomnicy, za rok będzie ktoś inny. Każdy czas ma swoich reprezentantów.

– Komendant powiedział nam, że wskazanie Pana nie było przypadkowe, nie każdy strażak ma na swoim koncie taką akcję – desperacką, żeby nie powiedzieć – na granicy szaleństwa.

– Nie uważam się ani za desperata, ani tym bardziej za szaleńca – uśmiecha się Marcin Szczap. – Po prostu – przyjechaliśmy do pożaru jako pierwsi. W zamkniętym pokoju na piętrze drewnianego domu starsza, 80-letnia lokatorka, mająca swoje problemy, rozpaliła na podłodze ognisko. Zajął się od tego cały dom. Nie mieliśmy wtedy w swoim wyposażeniu ani aparatów tlenowych, ani takich środków ochrony osobistej, które mamy dziś. Mogliśmy tam wejść i spróbować ją wyciągnąć, albo polewać pożar wodą ze świadomością, że ona tam zginie, bo ogień był już za wielki. Każdemu strażakowi taka sytuacja nie daje wyboru – iść, czy nie iść. Poszedłem, za mną kolega...

– I...

– Do takich pomieszczeń nie można wchodzić zwyczajnie – trzeba się wczołgiwać. Nie mieliśmy masek, a tlen – jeśli w ogóle trochę go zostało, „snuje się” tuż nad podłogą. Wyżej jest tylko dym. Natrafiłem na głowę tej kobiety, była już nieprzytomna. Wyciągnąłem ją, potem pomógł mi kolega, żeby ją wynieść na zewnątrz. Troszkę później przyjechało pogotowie, inne zastępy straży... Okazało się, że nam też był potrzebny tlen, podtruliśmy się w ogniu, ale bez większych konsekwencji zdrowotnych. Dziś nasza jednostka jest już lepiej wyposażona, mamy aparaty tlenowe, torby medyczne, niezły samochód. To z pewnością daje większe bezpieczeństwo. Po tamtej akcji dostałem medale, pamiątkowy zegarek. To wszystko jest oczywiście bardzo miłe, ale myślę, że każdy strażak na moim miejscu najwyżej ceni sobie fakt, że zdołał się przełamać i mimo wszelkich zagrożeń, z których przecież zdajemy sobie sprawę, podjął jedyną słuszną decyzję i udało się wyciągnąć z ognia człowieka. Ta starsza pani, niestety zmarła pół roku później. Jej wiek, ogólny stan zdrowia i poparzone drogi oddechowe złożyły się na ten smutny finał. Niektórzy mówili, że ratując jej życie przysporzyliśmy cierpień. Ale kiedy strażak wchodzi do płonącego domu, to nie kalkuluje, czy jest sens wyciągać ludzi z ognia. Jeśli choć przez chwilę tak by pomyślał, to chyba powinien zastanowić się nad innym zajęciem dla siebie.

Pobiedna, niby „Rancho”

Jeszcze senna, ale...

Pobiedna. Jedna z najdziwniejszych wsi na Pogórzu Izerskim. Dziwna choćby dlatego, że o ile wiele miejscowości z biegiem lat zyskiwało na znaczeniu i ze statusu wsi, czy wręcz osady zyskiwało nieformalnie, albo i formalnie prawa miejskie, to Pobiedna – wręcz przeciwnie. Pobiedna była miastem aż do 18145 roku, a potem sukcesywnie i gwałtownie traciła na znaczeniu. Dość powiedzieć, że chociaż do Pobiednej doprowadzona była kolej, to stacja kolejowa znajdowała się w sąsiedniej wsi – w Wolimierzu. (Dziś w starych budynkach tej stacji rezyduje grupa artystów – Klinika Lalek – przyp. aut.).

Prawa miasta (górniczego) Pobiedna uzyskała w połowie XVII w. (ok. 1667 r.), ale nigdy nie wykorzystywała tzw. górniczego przywileju. Po uzyskaniu praw miejskich zaczęto wytyczać teren i rozpoczynać zabudowę przyszłego rynku, którego ślady widoczne są do dziś, ale... nigdy nie zbudowano tu kościoła.

Rozwijał się za to przemysł – początkowo farbiarnia, później papiernia, a na koniec tkalnie lnu i szlifiernie szkła. Firmy powstawały i zanikały, niemniej tkactwo i przędzalnictwo broniły się przed wahaniami koniunktury i aż do drugiej połowy XIX w. były motorem napędowym rozwoju całej miejscowości, która w pewnym okresie istnienia dysponowała nie tylko własnym browarem, kąpieliskiem, gospodą, hotelem... a potem znowu wszystko zaczęło zanikać i fakt, że istniały tu świetnie prosperujące w pewnym okresie zakłady przemysłu bawełnianego i zakłady przemysłu pluszowego nie

miał żadnego znaczenia dla statusu Pobiednej, która utraciła nawet status tzw. gromady (takiej miejscowości miały w pewnym okresie swoją Gromadzką Radę Narodową) i spadła do rangi zwykłego sołectwa.

A przy wszystkich swoich niedoskonałościach i senności Pobiedna ma swój urok. Niektóre elementy tej wsi, jak choćby ławeczka przez sklepem spożywczym, na której przysiadają strudzeni i spragnieni mężczyźni są jakby żywcem wyjęte z serialu „Rancho” – gdyby pojawił się tu Franciszek Pieczka z kolegami i flaszkami „mamrota” w dłoniach nikt by się specjalnie tym nie zdziwił. Może warto zainspirować scenarzystów, by tu przyjechali – mają niemal gotowy zdjęciowy plan...

Boże Narodzenie w Polsce jest sprawą oczywistą. Tradycja każe mieć na stole 12 potraw, pod obrusem siano, za oknem powinien padać śnieg, który jednak nie przeszkadza zobaczyć pierwszą gwiazdkę. Na stole ma być karp, opłatek. Jeśli ktoś potrafi, powinien śpiewać kolędy, a w gorszym wypadku włączy płytę. Ale przecież nie wszyscy nasi sąsiedzi z Pogórza Izerskiego mają takie właśnie tradycje. Znaleźliśmy innych...

Boże Narodzenie w... morzu

Odświętnie, chociaż niekoniecznie świątecznie

Święta Bożego Narodzenia w Grecji są oczywiście ważne, ale nie aż tak, jak ***pascha*** (to znaczy – Wielkanoc). Nie obchodzi się tu Wigilii w jakiś specjalnie uroczysty sposób, bo przecież to jeszcze nie Święta, ale ten dzień przeznaczamy na odwiedziny u znajomych i przyjaciół, w odróżnieniu od dni świątecznych, które Grecy spędzają raczej z rodziną.

– Trudno mi się wypowiadać o szczegółach – powiedział nam **Joannis Buras**, mieszkaniec Zawidowa. – Znam Święta w Grecji bardziej jako gość i z opowiadań, bo najczęściej ten okres spędzałem w Polsce.

Zresztą Grecja różni się od Polski w tej sferze (sposobu obchodów świat religijnych) bardzo mocno, bowiem po pierwsze – przewagę liczebną mają prawosławni, a po drugie – w wielu konserwatywnych regionach tego kraju przestrzega się ostro wszelkich reżimów wiary, w tym – postu na 40 dni przed Świętami. W innych regionach, a szczególnie wielkich miastach takie rygory znacznie już osłabły.

Za to w okresie Świąt na stołach króluje nie ryba, a jagnięcina, indyk i prosię, więc menu zupełnie nieprzystającego do kanonu potraw polskich. Natomiast jest tam podobne upodobanie do słodyczy – w okresie Świąt pojawia się mnóstwo ciast, bardzo słodkich, z orzechami i miodem. I dokładnie takie same, jak w Polsce obyczaje przypisane są świętemu Mikołajowi, kiedy ludzie obdarowują się prezentami. Są też kolędy i kolędnicy, ale nieco inaczej jest to przeprowadzone, bo dzieci kolędują w dzień Wigilii i 31 grudnia, a w odwiedzanych przez siebie domach dostają słodycze, albo drobne prezenty.

Świąteczne obyczaje kontynuowane są jeszcze przez kilka dni, także dzień 1 stycznia i 6 stycznia jest ważny, ale z zupełnie innych powodów. Pierwszy dzień Nowego Roku to obchody świętego Wasylego (Bazylego). Historia tego święta jest dość skomplikowana, wprawdzie nawiązuje do jednej osoby – Bazylego Wielkiego, ale według liturgicznego kalendarza bizantyjskiego winno się ten dzień święcić drugiego, a nie pierwszego stycznia.

A szóstego stycznia tradycją jest, że młodzi mężczyźni rzucają do wody (rzeki lub morza) krzyż i usiłują go później wyławiać. W Polsce jest to raczej nie do pomyślenia, bo jednak z reguły wody są wtedy skute lodem. Tradycyjną potrawą wtedy jest pita.

– A jaką potrawę można zarekomendować polskiej kuchni, niekoniecznie świąteczną, ale jednak odświętną?

– Kurczaka cynamonowego. W Polsce przyjęło się, że cynamon jest dodatkiem do ciast, niemal wyłącznie, a to tylko część jego możliwości. Dodatek cynamonu powoduje, że mięso, zresztą nie tylko kurcząt staje się przy pieczeniu kruche. Kurczak z dodatkiem cynamonu, cukru i octu jest wyśmienity. Podobnie jak greckie „stifado" – wołowina duszona z wcześniej obsmażaną cebulką-szalotką, z dodatkiem cynamonu i goździków. To jedna z moich ulubionych potraw, chociaż czasochłonna. Wołowinę należy dusić 2 – 3 godziny, ale... smak jest wart wysiłku. Z pewnością nie jest to oferta na Boże Narodzenie, ale z jeszcze większą pewnością – dobry pomysł kulinarny.

Z białymi kangurami

Nie sanna a kąpiel

– Ze Świętami Bożego Narodzenia mamy problem – przyznaje Gary Rolland, Australijczyk, który kupił gospodarstwo w Studniskach Dolnych i od kilku lat mieszka tu wraz z całą swoją rodziną. – Jak wiadomo, w Australii wszystko stoi na głowie i w grudniu mamy przeciętnie 30 stopni Celsjusza (w plusie). Ale... przez dwa wieki wszystkie konwenanse i zwyczaje dyktowało nam Imperium Brytyjskie. A na Wyspach w grudniu jest zima, więc oni nie przyjmują do wiadomości, że gdzie indziej może być inaczej. Taki mają charakter. Perswadowaliśmy Koronie, że nawet adaptacja niektórych obyczajów (na przykład sanie z Mikołajem może być trudna. Niby możemy tak to zorganizować, że te sanie ciągnie sześć białych kangurów (z reniferami mamy taki kłopot, że one u nas nie występują) ale to kłopot, bo kangury bardziej się nadają do boksu, niż do sań. Ale oni twierdzili, że to żaden problem, bo renifery też niby nie latają, a wiara w ich loty z saniami jest w Europie powszechna.

Gary i Rebecca Rolland

Wymiana argumentów zajęła nam ze dwieście lat, ale jakoś sobie to wszystko poukładaliśmy. Zwyczaj choinki w Australii przyjęliśmy, chociaż stosujemy raczej plastykowe. Jeśli nawet ktoś tam cudem znajdzie świerka, to igły opadają w kilka dni. Nie pijamy grzańca – gorącego wina – tylko chłodne napoje, bo po winie w taki upał byłoby z nami krucho. Pierwszego dnia Świąt mamy uroczyste śniadanie, ale wcześniej rozdajemy prezenty „spod choinki", bo nikt nie ma cierpliwości, by z tym czekać do wieczora. A potem idziemy na plażę, gramy w krykieta... ot, taka familijna atmosfera. Oczywiście, na skutek kilkudziesięciu lat uporu udało się zrezygnować także z gorących potraw, bo przy naszej grudniowej temperaturze byłby to koszmar. Mamy świąteczny pudding i taką specjalną potrawę, przypominającą konsystencją budyń – obie „na słodko". Nie ma też magii długiego rodzinnego wieczoru, bo akurat mamy wtedy długi dzień, więc jakoś sobie trzeba z tym wszystkim poradzić.

Ale mieszkając w Polsce przyjęliśmy znaczną większość obyczajowości tego kontynentu, bo są to zwyczaje ciepłe, pełne serdeczności i (najczęściej, bo od dwóch lat jest z tym kłopot) w kopnym śniegu. Nie mieliśmy specjalnych kłopotów z adaptacją do polskich zwyczajów i potraw. W naturalny sposób weszliśmy w tę obyczajowość. A idea przedświątecznych jarmarków też nam się podoba i bez oporów uczestniczymy i w polskich, i w niemieckich, zresztą na naszych, znaczy – polskich też widzimy coraz więcej zainteresowanych nimi Niemców.

Interes zaczyna się od grosza..

Przedsiębiorcza klasa

Renata Misiak nie jest nauczycielem, nie jest też bizneswoman. Ale to właśnie ona, urzędniczka samorządu w Gryfowie Śląskim uznała, że nie wolno odrzucić oferty samorządu województwa, by właśnie w Gryfowie, jako jednej z 11 gmin dolnośląskich zrealizować program „Przedsiębiorcza Klasa".

– To było kuszące – mówi – bo zaproponowano to m.in. nam. Mieliśmy z grupą dzieci z klas od IV do VI przeprowadzić praktyczne zajęcia mające na celu nauczenie dzieci, jak można znaleźć się w gospodarce wolnorynkowej, gdzie wszystko, co dozwolone prawem jest możliwe, ale wykazanie własnej inicjatywy – konieczne. Dziesięciolatki miały pokazać, że są lepsze od wielu dorosłych, którzy pomimo upływu tylu lat nadal nie potrafią się poruszać w nowych realiach gospodarczych.

Partnerką stała się Mariola Kotowicz, opiekunka klasy V. Powstał zarys programu dla grupki zainteresowanych dzieci, który nazwano „Rozwiń skrzydła przedsiębiorczości". W perspektywie czekało 20 tysięcy złotych dla szkoły, ale i sporo nagród indywidualnych w rodzaju choćby laptopów, więc było o co walczyć. Tyle, że najważniejszy nie był laptop, nawet najlepszy, a upewnienie dzieci, że są zdolne, by stać się podmiotem gospodarczym i rozpychać się między innymi w dobrze pojętej konkurencji.

– To było naprawdę trudne, ale i satysfakcjonujące – mówi R. Misiak. – Poszliśmy do piekarni, by popatrzeć, jak powstaje chleb i zrozumieć, skąd się bierze jego cena. Założyliśmy szkolny sklepik, do którego dzieci same sprowadzały towary, naliczały marże, czasami o gorsz. I orientowały się, co się opłaca, a co nie. I jak robić, by to wszystko się nie rozleciało. Mówimy „dzieci same", ale przecież były cały czas pod naszą opieką, pomagali nam rodzice, więc „ekonomiczne bezpieczeństwo" przedsięwzięcia zostało zagwarantowane. Niemniej emocji było dużo. Dzieci nauczyły się, jak pisać CV, żeby zaistnieć u pracodawców, a w ramach praktycznego ćwiczenia małe grupki miały opracować programy promocji swojej szkoły, żeby zachęcić innych do nauki właśnie w tej placówce. Za wspomniane 20 tys. zł kupiliśmy tablicę interaktywną, laptopa, oprogramowanie, nagłośnienie mulimedialne, kamerę, aparat foto...

W konsekwencji w ostrej rywalizacji świetne tablety wygrała para Julia Dereń i Roksana Karaczun, a niewiele różniące się jakością – Wiesława Janaszek i Natalia Królak oraz Milena Hawryluk i Nikola Sawicka. Programy promocji szkoły budowane były przez dziewczyny tak starannie, że nauczyciele powinni wziąć je pod uwagę. Jury decydujące o nagrodach zbierało się dwa razy, bo poczucie odpowiedzialności za ocenę było ogromne.

– Chciałyśmy też budować poczucie odpowiedzialności u dzieci, także odpowiedzialności gospodarczej, na skalę możliwości ich pojmowania – powiedziała Renata Misiak. – Pojechaliśmy do Huty „Julia", dzieci dowiedziały się, że ta huta zbankrutowała, ale podniosła się z upadłości, widać, że znowu trwa produkcja. Dowiedziały się, że nie wszystko kończy się sukcesem, ale też porażka nie musi być klęską ostateczną i definitywną. To ważne, bo przecież one, już całkiem niedługo, będą niosły tę odpowiedzialność za gospodarkę bardzo serio. To był dla nas wszystkich bardzo potrzebny program.

Pogórze Izerskie pomiędzy światami

Między Hiszpanią a Rosją...

... leży Warta Bolesławiecka. Tak przynajmniej określano położenie tej gminy w dawnych czasach, żeby zilustrować położenie jednej z osad na „Drodze Królewskiej" – „Via Regia". Precyzyjnie na Via Regia leży powstały w XIII wieku Tomaszów Bolesławiecki. Niewiele młodsze, bo datowane na 1346 r. są Wartowice, zdecydowanie starsze są pozostałości warowni rycerzy – templariuszy, „Gwiezdnego Zamku" w Warcie Bolesławieckiej. Ta fortyfikacja, po której dziś pozostały tylko zarysy podwójnej fosy, fragmenty wałów i murów powstała już w XII wieku. Wartę Bolesławiecką kojarzymy z kopalniami, cementownią i krajobrazem przemysłowym, a przecież jest to obszar niezwykle interesujących zabytków, a przede wszystkim – ludzi. Gdyby określić tę gminę jako „krainę wapienia i... truskawek", albo też „szklaną nizinę" (nawiązując do „Starej Owczarni", która dziś jest miejscem pielgrzymki setek turystów nawet z USA, którzy chcą kupować szklane cuda z wytwórni Stanisława Borowskiego), to nie popełnilibyśmy żadnego błędu. Pisaliśmy o tym i pewnie będziemy do tego wątku powracać, bowiem namawiamy naszych Czytelników, by postrzegali Pogórze Izerskie inaczej, niż konwencjonalnie.

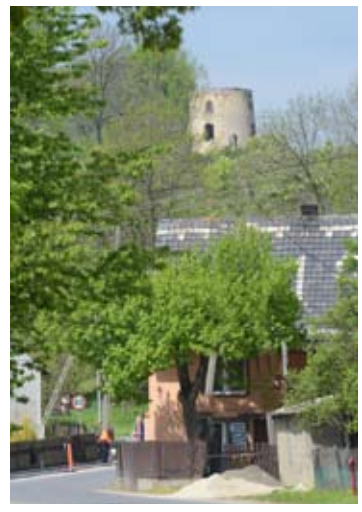

W tle zabytkowy piec wapienny w Raciborowicach

Przywykliśmy przylepiać zwyczajowe etykiety – Lwówek to mury obronne, Leśna to Czocha, a Nowogrodziec – to ceramika. Rzeczywistość – na szczęście – jest bardziej skomplikowana i o niebo bardziej atrakcyjna. Wspomniana Warta Bolesławiecka, to przede wszystkim ustabilizowany samorząd i ustabilizowanymi dochodami, które umożliwiają realizację bardzo wielu zadań, o jakich w innych regionach kraju nawet nie mogą marzyć. Gmina – zdobywczyni Dolnośląskiego Klucza Sukcesu (2001) nie zwalnia tempa i przygotowuje wciąż nowe tereny pod inwestycje, co może nie jest aż tak ciekawe, jak historia „Złotego Młyna" z 1501 roku, wciąż „na chodzie", ale z pewnością daje perspektywę nowych miejsc pracy, o co w Polsce przeciętnie łatwo nie jest. A w Szczytnicy czeka na nowych inwestorów ponad 21 ha, w Tomaszowie Bolesławieckim i Wilczym Lesie – kolejne działki, W Warcie – jak w każdej innej gminie – największym majątkiem są ludzie, których aktywność (w tworzeniu przedszkoli i innych miejsc opieki nad dziećmi, integracji mieszkańców wokół wspólnych spraw, jak choćby w Raciborowicach, i in.).

Tytuł, mówiący o tym, że Warta leży między Hiszpanią i Rosją ma podwójne znaczenie. Po pierwsze – dosłowne, bo takie są realia geograficzne. Ale po drugie – metaforyczne, bo w sensie rozwoju cywilizacyjnego jesteśmy właśnie pośrodku tych światów i warto się przyłożyć, żeby być bliżej tego lepszego.

Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich

Z życia LGD

„Szlak izerskich wiosek tematycznych"

Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania – Partnerstwo Izerskie od 1 lipca 2014 do 31 grudnia 2014 roku realizowało projekt „Przedsiębiorczość społeczna na szlaku izerskich wiosek tematycznych" w ramach Programu Funduszu Inicjatyw Obywatelskich na lata 2014-2020. Projekt ten pozwolił na przygotowanie kadry animatorów do prowadzenia zajęć na terenie miejscowości. Rezultatem projektu jest powstanie 6 ofert wsi tematycznych. Uczestnicy projektu dzięki zdobytej wiedzy i nowych doświadczeń wraz z mieszkańcami zakwalifikowanych wiosek, utworzyli swoje nowatorskie oferty wsi. Realizacja projektu przyczyniła się do powstania 6 ofert:

- „Prezenty na każdą okazję" – mała inicjatywa Stowarzyszenia Wiejskiego „Wspólnie w Przyszłość" z Mikułowej. Głównym celem inicjatywy jest organizacja warsztatów rękodzielniczych: drewniane ozdoby, świece, lawendowe mydełka, babcine zabawki i podpłomyki Elfa.
- „Niezwykłe spotkania z historią w wiosce Gryfa" – mała inicjatywa Stowarzyszenia Rozwoju Proszówki polega na przygotowaniu kart Quest Kapliczka Leopolda, planu wycieczki, gier edukacyjno – przyrodniczych oraz poczęstunku. Ma być to oferta skierowana do dzieci i młodzieży, która poprzez zabawę uczy się historii pobliskich miejsc i okolic.
- „Wioska wysokich lotów" – Stowarzyszenie „Wiemy Czego Chcemy" przygotowało ofertę na przeprowadzenie warsztatów z wykonania ozdób choinkowych (łańcuchy, ozdoby z masy solnej, gwiazdki ze słomy, ozdoby z makaronu). Dodatkowo uczestnicy postanowili postawić tablicę informacyjną o miejscowości. Zaprojektowane i wydane zostały także ulotki promocyjne z ofertą wioski tematycznej.
- Izerskie Skarby – Fundacja Wspomagająca Rozwój Wsi Dolnośląskiej „Izerskie Skarby" zaplanowali w swojej ofercie przeprowadzenia warsztatów artystycznych, a także postawienie tablicy informacyjnej o powstałej tu wsi tematycznej.
- „Pławna – wioska odkrywców izerskich" – Stowarzyszenie Pławna zaprojektowało tablicę informacyjną z mapą rękodzielników i ich kontaktami, dodatkowo w celach promocyjnych wydano ulotki o ofercie tematycznej wsi, a także zorganizowano warsztaty dla dzieci „Izerskie minerały – spotkania edukacyjne" oraz „Malowanie koralikiem".

Powstanie 6 nowych ofert wsi tematycznych przyczyniło się do wzrostu atrakcyjności turystycznej na Pogórzu Izerskim. Przez tych 6 miesięcy realizacji projektu mieszkańcy zakwalifikowanych wsi zintegrowali się i podjęli szereg działań w kierunku rozwoju ich miejscowości. Znacznie wzrosła aktywizacja wśród stowarzyszeń. Obszar Partnerstwa Izerskiego zrzesza 17 gmin, wśród których mnóstwo jest wiosek mających ukryty potencjał i zróżnicowane zasoby przyrodnicze. Stowarzyszenie LGD – Partnerstwo Izerskie działając na rzecz promocji swojego terenu, zamierza kontynuować projekty z zakładania wiosek tematycznych.

Tworzenie ofert tematycznych wsi

Głównym celem projektu „Przedsiębiorczość społeczna na szlaku izerskich wiosek tematycznych" realizowanym przez Stowarzyszenie Lokalną Grupę Działania – Partnerstwo Izerskie jest organizacja warsztatów z tworzenia gotowych ofert tematycznych dla każdej z rekrutowanych miejscowości. Warsztaty te miały na celu wspólnie z mieszkańcami opracowanie oferty związanej z wykorzystaniem lokalnych walorów, a także integrację społeczności lokalnej wokół tematu wiodącego dla wsi oraz zaplanowanie działań do realizacji. Przeprowadzenie warsztatów odbyło się poprzez organizację wyjazdowych zajęć do wioski Spytków oraz warsztaty zorganizowane w 6 zrekrutowanych wsiach.

Podczas warsztatów w każdej z wiosek mieszkańcy i członkowie stowarzyszeń pracowali nad analizą zasobów miejscowości i jej otoczenia. Uczestnicy uczyli się kreowania nowych pomysłów, formułować działania. Wszystkie spotkania prowadził doświadczony i wykwalifikowany moderator. Rezultatem warsztatów jest opracowanie 6 ofert tematycznych dla każdej ze wsi, które będą zachęcać swoimi propozycjami do odwiedzania przez turystów.

Wszystkie opracowane oferty złożą się na gotowy produkt pn. „Szlakiem izerskich wiosek tematycznych".

„Przedsiębiorczość na szlaku izerskich wiosek tematycznych"

Promocja obszarów wiejskich położonych na terenie LGD jest niezwykle istotna i ważna dla zrównoważonego rozwoju. Dlatego też Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania – Partnerstwo Izerskie ubiegała się o dofinansowanie w ramach Programu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich i otrzymała środki na realizację projektu „Przedsiębiorczość na szlaku izerskich wiosek tematycznych". Projekt ten trwa od 1 lipca 2014 do 31 grudnia 2014 roku. Ma on na celu wyłonienie z pośród 17 gmin Pogórza Izerskiego 6 stowarzyszeń, które wezmą udział w zadaniach dzięki, którym powstaną oferty tematyczne wsi. Głównym celem jest debata społeczna na temat prowadzenia przedsiębiorczości na wsi oraz przeszkolenie animatorów, którzy będą prowadzić zajęcia w swoich miejscowościach. Projekt ten jest również doskonałym sposobem wymiany dobrych praktyk. Przeprowadzone zostaną warsztaty z tworzenia ofert tematycznych w wytypowanych miejscowościach. Z uwagi na to, iż na terenie LGD znajduje się „Spytków – wioska czarów i magii" typowa modelowa wieś tematyczna, która posiada swoją bardzo zróżnicowaną i ciekawą ofertę, zorganizowane zostaną warsztaty wyjazdowe, dzięki którym uczestnicy będą mieli możliwość aktywnie uczestniczyć w zajęciach. Po odbyciu wszystkich warsztatów i szkoleniu na animatorów, stowarzyszenia napiszą projekt na małą inicjatywę. Po zaakceptowaniu otrzymają środki na wydanie własnych ulotek, postawieniu tablic informacyjnych czy organizację warsztatów rękodzielniczych i artystycznych związanych z nowo powstałą ofertą tematyczną ich miejscowości.

Seminarium wraz debatą – wioski tematyczne

W celu rozpoczęcia realizacji projektu „Przedsiębiorczość społeczna na szlaku izerskich wiosek tematycznych" Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania – Partnerstwo Izerskie zorganizowało seminarium wraz z debatą publiczną inauguracyjne projekt. Podczas spotkania odbyła się otwarta dyskusja przedstawicieli sektora społecznego i publicznego na temat możliwości aktywizacji społeczności wiejskich poprzez przedsiębiorczość społeczną i wypromowanie projektu wśród uczestników oraz zachęcenie do udziału w nim. Prowadzący moderatorzy Pani Irena Krukowska – Szopa i Pan Krzysztof Szustka zapoznali uczestników z zagadnieniem wsi tematycznej.

Wieś tematyczna jest wsią, której rozwój podporządkowany jest wiodącej idei, tematowi. Dzięki temu wieś staje się charakterystyczna i jedyna w swoim rodzaju. Wioska tematyczna jest jednym ze sposobów na wprowadzenie wsi do nowej gospodarki, w której coraz ważniejszą rolę odgrywają usługi, w tym usługi związane z wiedzą i wszelakimi doznaniami. Tworzenie oferty tematycznej wsi polega na przygotowaniu zajęć warsztatowych, programu edukacyjnego, gier i zabaw. Nie ma jednej ogólnej metody tworzenia wiosek tematycznych. Wszystko zależy od tego czy wieś ma już jakieś podstawy czy nie, czy we wsi działa lokalny lider czy brak jest osób wykwalifikowanych do tego rodzaju działań.

Dlatego też Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie widząc potencjał wiosek znajdujących się na terenie Pogórza Izerskiego, postanowiło zająć się realizacją projektów, których celem jest pomoc w tworzeniu ofert tematycznych jak i przeszkoleniu osób, które będą prowadzić zajęcia w swoich miejscowościach.

Podczas spotkania uruchomiona została również rekrutacja stowarzyszeń do projektu. Głównym kryterium rekrutacji było wypełnienie kwestionariusza, preferowane były stowarzyszenia działające min. 2 lata, posiadające sołecką strategię rozwoju, mające pomysły na wykorzystanie zasobów kulturowych, przyrodniczych, ludzkich do tworzenia ofert, a także wytupuje min. 10 osób, które z zaangażowaniem tworzyć będą ofertę swojej wsi.

Do udziału w projekcie zakwalifikowane zostały: Stowarzyszenie Rozwoju Proszówki, Stowarzyszenie „Wiemy Czego Chcemy", Stowarzyszenie Wiejskie Wspólnie w Przyszłość, Stowarzyszenie Pławna, Fundacja Wspomagająca Rozwój Wsi Dolnośląskiej „Izerskie Skarby", Stowarzyszenie Wspierające Rozwój Olszyny oraz Stowarzyszenie Maltanowo.

Projekt Współpracy „Europejskie Drogi Św. Jakuba"

Droga św. Jakuba oznaczona w całej Europie symbolem muszli prowadzi do Santiago de Compostela, gdzie według tradycji znajduje się grób apostoła św. Jakuba Starszego. Od XI w. był to jeden z głównych celów europejskich pielgrzymów. Po wizycie w 1982 r. Jana Pawła II w Santiago i nadaniu Drodze św. Jakuba tytułu pierwszego europejskiego szlaku kulturowego, w całej Europie zaczęto odnawiać szlaki jakubowe – bogate dziedzictwo kulturowe i przyrodnicze zachęca do wędrowania po szlaku św. Jakuba. Droga Św. Jakuba od lat stała się wyzwaniem dla pielgrzymów z wielu krajów. I tych, którzy z Gniezna, prastarej Polski, mają do Santiago de Compostela blisko 3600 kilometrów, jak i tych, którzy wędrują po dolnośląskim odcinku szlaku.

Dolnośląska Droga Św. Jakuba jest przedmiotem współpracy Lokalnych Grup Działania: Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania – Partnerstwo Izerskie, Stowarzyszenie Światowid, Wielkopolska Grupa Działania „Kraina Lasów i Jezior", Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania „Kwiat Lnu", Stowarzyszenie LGD „Partnerstwo Ducha Gór" oraz Fundacja „Porozumienie Wzgórz Dalkowskich", które niosą wszechstronną pomoc pielgrzymom, dając jednocześnie impuls do rozwoju pomocowych podmiotów z terenów wiejskich. Stowarzyszenia te wraz z partnerami z Austrii, Niemiec, Czech i Szwajcarii realizują międzynarodowy projekt współpracy pn., „Europejskie Drogi Św. Jakuba".

Pielgrzymi, którzy wędrują drogą Św. Jakuba samotnie, czy w małych 4-5 osobowych grupach często nie są zauważani przez lokalnych mieszkańców i nie otrzymują właściwie żadnej pomocy. Z drugiej jednak strony szacuje się, iż obecnie wędruje ich około czterech tysięcy osób. Droga św. Jakuba staje się bowiem panaceum na kłopoty współczesnego świata, nadzieją dla ludzi wypalonych, zmęczonych psychicznie, potrzebujących dystansu do życia, poszukujących siebie i swojej własnej drogi.

Trzy stowarzyszenia z Dolnego Śląska, doceniając rolę drogi św. Jakuba chce pomagać pielgrzymom w lepszym poznawaniu terenu, przez który przechodzą, poprzez zapewnienie im wykwalifikowanych przewodników – towarzyszy podróży, którzy nie będą przeszkadzać podczas wędrówki, ale pozwolą wydobyć z pielgrzyma pożądane warto-ści. W ramach projektu współpracy w maju przeprowadzono szkolenia dla przewodników po Drodze św. Jakuba. Wyszkoliliśmy kilkanaście osób z odpowiednimi predyspozycjami, które otrzymały certyfikaty. Nasi przewodnicy mają doświadczenie w turystyce, posiadają odpowiednie predyspozycje psychologiczne i socjologiczne, charakteryzują się zamiłowaniem do wędrówek oraz przede wszystkim bardzo dobrze znają swój szlak.

Projekt współpracy „Europejskie Drogi św. Jakuba" pozwolił nam również na organizację przejść tymże szlakiem. Grupy kilkunastu osób przeszły wyznaczonym odcinkiem szlaku. Każde przejście rozpoczynało się Mszą Świętą, następnie grupy pielgrzymów udały się na szlak. Na drogę każdy otrzymał paszport i pieczęć pielgrzyma. Na końcu przejścia czekał na wszystkich ciepły poczęstunek, a także wszyscy otrzymali certyfikat przejścia. Uczestnikami przejścia były osoby starsze, dzieci, osoby samotne, a nawet całe rodziny. Nieważne jak i z kim, ważne że dla siebie - w poszukiwaniu wiary i Boga. Każde przejście tą drogą jest wyjątkowe. Wędrówka ta jest niczym innym jak zadawaniem pytań do Boga i oczekiwaniem na odpowiedzi.

Organizacja tych przejść miała również na celu uwrażliwienie okolicznych mieszkańców na pielgrzymów. Aby zachęcić ich do dawania pomocy, ale także to rozszerzania swoich usług agroturystycznych, dla pożytku swojego i lokalnej społeczności.

Droga św. Jakuba jest oznakowana symbolem muszli i opisana w Internecie pod adresem www.camino-europe-pl.eu. Stowarzyszenia w ramach projektu wydały również przewodniki po drodze i przewodniki duchowe pielgrzymów. Realizatorzy projektu współpracy wzięli również udział w konferencji w Feldkirch - Austria. Podczas spotkania pracowano nad koncepcją tworzenia certyfikowanych ośrodków dla pielgrzymów.

Cieszy nas fakt, iż Droga św. Jakuba znajduje zrozumienie na szczeblach gmin, powiatów i województw, ale także w kontaktach międzynarodowych. Coraz bardziej również przekonują się do niej sami mieszkańcy terenów, przez które wiodą szlaki, co sprawia, że pielgrzymi mają większą świadomość, tego iż mogą liczyć na życzliwą pomoc podczas swojej wędrówki.

Opracowanie Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie

Europejski Fundusz Rolny na Rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich

Europejski Fundusz Rolny na Rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich Europa inwestująca w obszary wiejskie. Artykuł finansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach osi 4 Leader. Działanie 421 – wdrażanie projektów współpracy w zakresie operacji polegającej na realizacji projektów współpracy.

„Spytków – wioska czarów i magii" – wieś modelowa podczas tworzenia ofert tematycznych wsi

„Spytków – wioska czarów i magii" to jedyna wieś tematyczna na Pogórzu Izerskim, która posiada już gotową, bogatą i ciekawą ofertę dla gości. Wieś jest położona na styku trzech granic: polskiej, czeskiej i niemieckiej co sprawia, że staje się ona jeszcze bardziej atrakcyjna pod względem turystycznym i jest nastawiona na przyjmowanie gości również z Niemiec i Czech. Położenie nad jeziorem Witka w Gminie Zgorzelec stwarza ogromne szanse do rozwoju i promocji tej wsi. Dzięki oddolnej inicjatywie mieszkańców wieś ta prężnie się rozwija. Powstała tutaj wioska Czarów i Magii co roku przyciąga rzesze okolicznych mieszkańców i wielu turystów krajowych jak i zagranicznych. W swojej ofercie Spytków posiada: warsztaty (sianosploty, pisanie gęsim piórem, warsztaty czary – mary"), gra terenowa – Poszukiwanie Skarbu Boblitza, Ścieżka Zmysłów i Igrzyska Czarodziejów. Z uwagi na rozwiniętą ofertę wsi Spytków posłużył jako wieś modelowa do odbycia warsztatów wyjazdowych w ramach projektu „Przedsiębiorczość społeczna na szlaku izerskich wiosek tematycznych". Podczas trwania warsztatów uczestnicy projektu poznali od samego początku proces tworzenia oferty wsi oraz efekty działań. Przez cały dzień stowarzyszenia mogły praktycznie uczestniczyć we wszystkich zajęciach co pozwoliło na kreatywne podejście do swoich ofert.

Szkolenie animatorów wiosek tematycznych

W ramach realizacji projektu „Przedsiębiorczość społeczna na szlaku izerskich wiosek tematycznych" Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania – Partnerstwo Izerskie zorganizowała szkolenie przygotowujące animatorów ofert tematycznych wsi do prowadzenia zajęć na terenie miejscowości. Szkolenie to miało na celu poznanie procesu animowania i promocji oferty wsi tematycznej, a także przygotowanie uczestników do prezentowania zasobów swojej miejscowości w nowej i atrakcyjnej formie. Szkolenie trwało dwa dni i odbyło się w gospodarstwie agroturystycznym „u Haneczki" w Barcinku. Podczas szkolenia uczestnicy 6 stowarzyszeń nauczyli się jak tworzyć scenariusz zajęć dla dzieci i dorosłych, poznali podstawowe zasady konstruowania zajęć, a także zaznajomili się z budowaniem scenariusza zajęć terenowych. Uczestnicy wzięli udział w grach i zabawach integracyjnych, a także zespołowych opartych na zasobach przyrodniczych wsi. Dzięki temu będą mogli wykorzystać praktyczną wiedzę w swoich miejscowościach. Na koniec szkolenia poruszono tematy związane z promocją i wizerunkiem wsi. Wszyscy uczestnicy otrzymali certyfikaty animatorów wsi tematycznych, a także książki, które w przyszłości pomogą im budować ciekawe scenariusze zajęć na wsi.

Haftowanie śpiewająco i na odwrót

W Zawidowie – bez nudy

Danuta Aniśkiewicz i Celina Baran – to dwie (z większej grupy) członkiń zespołu „Jarzębina" z Zawidowa. – Nam samym trudno uwierzyć, że „Jarzębina" ma już trzydzieści lat... Ten zespół jest dla nas ważny nie tylko dlatego, że dzięki próbom i koncertom utrzymujemy wciąż aktywny tryb życia i z całą pewnością nie mamy czasu na nudę. Także dlatego, że i my pamiętamy, i nie pozwalamy innym zapomnieć, że korzenie naszych rodzin, to tereny Białorusi, Polesia, Ukrainy... Jasne, że to dziś zupełnie inne kraje, można nawet powiedzieć – inne światy, ale przecież w pamięci wciąż są trochę nasze, jak piosenki z tamtych stron, które śpiewamy. Zaczynałyśmy tę przygodę z „Jarzębiną" jako młode kobiety i bardzo nam to odpowiadało. Dziś trudniej zachęcić do współpracy z naszym zespołem, ale też wszystko się przecież zmieniło.

– Trudno choćby wytłumaczyć – wspomina Celina Baran – komuś, kto nie zna realiów czasu powojennego, jak się wspomina miejsce dzieciństwa, to znaczy – Białoruś, mieszkając w Zawidowie. A przecież do Polski przyjechałam z Białorusi, ale.. z przerwą 6,5 roku na pobyt na Syberii. Kiedy więc mówimy, że „Jarzębina" promuje muzykę Kresów, to dla nas takie stwierdzenie ma zupełnie inną treść i wagę niż dla tych, którzy mieli szczęście mieć od dzieciństwa dom, z którego nikt ich nie wyrzucał.

„Jarzębina", to jest ich wspólna pasja, bo to nie tylko muzyka i piosenki i nagrody za tę aktywność, łącznie z okolicznościowym medalem. To także grupa kobiet, które nie tylko się lubią, ale też lubią robić coś razem.

– Zespoły śpiewacze często uczestniczą także w prezentacjach kulinarnych...

– My też – powiedziały obie nasze rozmówczynie. – Nie za często, bo mamy mnóstwo własnych zajęć, ale co najmniej dwa razy do roku, na Boże Narodzenie i na Wielkanoc przygotowujemy stoły świąteczne, a menu nawiązuje także do miejsc naszego pochodzenia, do potraw z Kresów.

Jedna z nich lubi przygotowywać (i jadać – co oczywiste) pierogi z soczewicy, druga – uszka z grzybami. Ale wyżywają się nie tylko w kuchni i podczas koncertów.

– Łączy nas jeszcze pasja do haftu krzyżykowego – uśmiechają się. – I to jest jak najtrudniejszy do zwalczenia nałóg. Kiedy się już ktoś zaplącze w tę nitkę, to powinien sobie powiedzieć, że jest „nie do uratowania". Takie przynajmniej my odnosimy wrażenie. Od czasu do czasu robimy sobie przerwy na lekturę, ale i tak szybko wracamy do krzyżyków.

To się z reguły zaczyna niewinnie – jeden mały obrazek, niezbyt trudny, ale i tak dość skomplikowany, bo to przecież pierwszy raz. Ale potem jest drugi i kolejne, każdy coraz trudniejszy, bo

przecież inaczej nie sposób się zmierzyć w rywalizacji. To nie jest konkurowanie z koleżanką, a z samą sobą. Prosty kwiat, prosty wzór, potem już nieprosty bukiet, a potem obrazy...

– Bo to się zwykle tak zaczyna – cytują słowa popularnej swego czasu piosenki – ale się już nie kończy, bo zawsze jest jeszcze trudniejszy wzór, jeszcze bardziej pociągający motyw.

Portret Mony Lizy, zwierzęta, martwa natura, mieniące się wodospady, czy też wielki, skomplikowany krajobraz, który trzeba pracowicie dziergać kilka miesięcy.

– Warto sobie stawiać zadania prawie nierealne do wykonania – mówią. – I mierzyć się z nimi, bo jeśli coś jest w zasięgu możliwości od tzw. pierwszego wejrzenia, to właściwie od razu powstaje pytanie: Czy w ogóle warto się za coś takiego brać? A jeśli mamy wątpliwości, czy możemy tego dokonać – to jest z pewnością wyzwanie. I my to lubimy.

Między nowymi a starymi laty...

Narzekanie na to, że młodzież mamy coraz gorszą ma tradycję tak długą, jak cywilizacja. Faktem jest, że młodzież jakoś nie mądrzeje i ten naturalny proces, że kolejne pokolenie powinno być odrobinę rozsądniejsze, niż poprzednie nie przebiega tak płynnie, jakbyśmy mogli to sobie wymarzyć, ale...

Kiedy sięgamy do wspomnień m.in. absolwentów szkoły nauczycielskiej w Lubomierzu, to jeszcze w Lubece (bo lubomierskie liceum tam miało swój początek) mieli oni w głowie pstro. Niby powinni być poważni, bo przecież wojnę mieli za sobą, ale okazuje się, że głupoty w głowie przypisane są młodzieży. Andrzej Hitczenko wspomina – dla przykładu – że chłopcy mieszkający w internacie na drugim piętrze koszar postanowili w wielkanocny poniedziałek sprawić śmingusa dziewczynom, które miały internat piętro niżej. One głupie nie były, więc się szczelnie pozamykały w swoich pokojach. Oni też nie byli, więc – mając w swoim składzie żołnierzy – spadochroniarzy gen. Sosabowskiego, walczących m.in. pod Arnhem, którzy zachowali swój bojowy ekwipunek, dokonali desantu. Tym razem na I piętro internatu. Kolejno spuszczano spadochroniarzy na linach, potem spuszczano im wiadra z wodą, a oni lali bezlitośnie do pokoi. Część dziewczyn okrywała się kołdrami, te traktowano symbolicznie, ale część bardziej hardych (a może bardziej wystraszonych) wybiegała na korytarz, a tam dopiero dostawały się „pod rynnę", bo pod drzwiami dziewczęcych pokoi urządzono prawdziwe wojenne zasadzki.

A jak już uczniowie skończyli z oblewaniem koleżanek, to zabrali się za... nauczycielki. Dwie mieszkały w osobnym pokoju, potraktowane je nieco delikatniej, niż rówieśniczki, ale Aniela i Renata Zawadzkie, historyk i łacinnik, też miały mokro.

Woda się lała strumieniami po korytarzach, a kaskadami – po schodach, kiedy nadszedł dyrektor...

Zabawa trwała krócej, niż sprzątanie. Obyło się jednak bez wyrzucania ze szkoły, zawieszenia w prawach, itp. Dziś pewnie byłoby gorzej. Ale jest i druga różnica. Tamci uczniowie, cokolwiek by o ich wygłupach nie mówić, byli bardziej sprawni fizycznie. Dzisiejsi – gdyby zechcieli schodzić po linach – pewnie by się pozabijali. I to już jest różnica niepokojąca.

Leśna prawdziwie leśna

Miasto Leśna nosi swoją nazwę nieprzypadkowo. Mało kto wie, że w tej gminie jest aż... tuzin parków i ogrodów zabytkowych. Najcenniejsze z nich to park podworski w Kościelnikach Dolnych, park przyzamkowy w Świeciu i zespół parkowo-ogrodowy nieopodal Zamku Czocha. Ten ostatni w obrębie murów warowni jest niezbyt rozległy (ma powierzchnię ok. 1 ha), ale imponuje rozmaitością rosnących tu roślin. Poza drzewami i bluszczem też zanokcica, paprocie i efektowny porost zwany tarczownicą ścienną. Ozdobą jest lipa – najbardziej okazała w całym powiecie lubańskim, mająca ok. 5,5 m w obwodzie.

Został młyn, ale... inny

W Tylicach, nieopodal Zgorzelca

Dziwna to wieś, bowiem – w odróżnieniu od wielu innych – raczej nie zmniejsza się liczba jej mieszkańców, chociaż... coraz mniej jest rolników. Można nawet powiedzieć, bez obawy o popełnienie większego błędu, że im więcej ludzi tu mieszka, tym rolników – mniej.

– To jedna z najstarszych wsi w okolicy – mówią znawcy. – Wprawdzie pierwsza informacja pisana o jej istnieniu dotyczy 1449 roku, ale badania archeologiczne potwierdzają istnienie cmentarzyska z epoki neolitu, to znaczy z okresu ok. 4.500 lat PRZED naszą erą, a ponadto są ślady osad z okresu wpływów rzymskich czy grodziska z IX/X w.

– Dla współczesnych Tylice są dobrym miejscem do zamieszkania „mieszczuchów", niezłym do istnienia podmiejskich restauracji, czy hotelików, więc choć to nominalnie wieś – coraz mniej ma wspólnego z rolnictwem. Dobrym przykładem nawiązywania do przeszłości jest choćby „Tylicki Młyn". Istniał tu taki w 1940 roku i nieco później, w czasach apogeum rozwoju wsi, kiedy była tu też torfownia (6 robotników produkowało ok. 130 tys. kostek torfu rocznie), olejarnia, hodowla merynosów, itp. Dziś... to już zupełnie inna bajka, inny młyn...

Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich

Izerska Galeria Artystyczna w Kromnowie buduje swój kolorowy wizerunek

W starym kościele – „Dom Lalek”?

– Jeśli zbliża się Boże Narodzenie czy Wielkanoc, to jesteśmy w Kromnowie... – tak mówi sobie z roku na rok coraz większa grupa ludzi mieszkających w Jeleniej Górze i na Pogórzu Izerskim. Dokładnie przyjeżdżają do Izerskiej Galerii Artystycznej, która swoją siedzibę ma w odnowionym obiekcie po byłym kościele ewangelickim. Swego czasu budowla chyliła się ku ruinie (dosłownie i w przenośni), wyremontowano ją pięknie, a potem udało się tchnąć w nią ducha. I teraz Izerska Galeria Artystyczna jest chlubą i kłopotem gminy. A może być jeszcze większą chlubą, albo jeszcze większym kłopotem w zależności od rozwoju sytuacji.

Na kanwie ostatniego Jarmarku Świątecznego, który odbył się w grudniu widać to wszystko najlepiej. Stoiska wystawców – rękodzielników i wytwórców żywności – oblegały i parter, i pierwszą emporę. Można powiedzieć, że każde następne miałoby problemy, żeby się pomieścić, a były i takie, które postanowiono zorganizować na zewnątrz obiektu.. Klienci też przyjechali licznie, chociaż akurat tych nigdy dość, ale... Żeby ich ściągnąć potrzebna reklama, a na nią pieniądze oraz parkingi (a na ich budowę – pieniądze). Galeria zaś ma budżet całoroczny na poziomie kilkunastu tysięcy złotych, co wystarczy na energię, elektryczną i wodę i jakieś drobiazgi, ale na niewiele więcej. Reklamowanie wydarzeń w Galerii odbywa się więc metodą propagandy szeptanej (także poprzez facebook'a i podobne wynalazki) oraz wolontariackiej poczty pantoflowej. To jest niezwykle sympatyczne, ale w dobie agresywnej promocji innych – niknie. A jeśli nawet ktoś chciałby przyjechać, to skoro raz będzie musiał postawić swoje auto na poboczu jezdni (dobrze, jeśli nie w kopnym śniegu) i to 200 – 300 m od Galerii, to drugim razem, szczególnie gdy będzie gorsza pogoda, może się na przyjazd nie zdecydować.

Z jednej strony Galeria powinna organizować imprezy komercyjne, w rodzaju koncertów ludzi „z nazwiskami” (choć i to nie jest proste, bo została odbudowana z pieniędzy unijnych), ale z drugiej – gdzie mają postawić swoje auta ci, którzy zechcą przyjechać i zapłacić mniej czy bardziej słono za bilet?

Galeria powinna służyć dzieciom i dorosłym mieszkańcom, choćby prezentując na swojej scenie spektakle jeleniogórskiego Teatru Animacji, czy lekkie formy kabaretowe, ale należałoby wówczas sprząc jej działalność (i budżet) z placówkami oświaty i kultury, gminnym lub powiatowym, bo sama tego finansowo nie udźwignie.

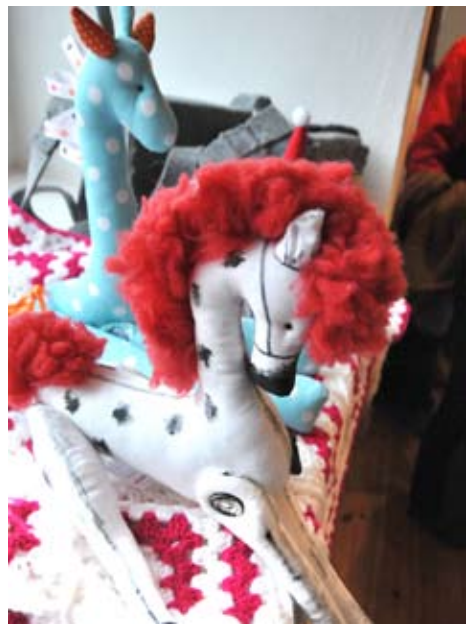

Przed nowymi władzami Gminy Stara Kamienica pojawia się więc pewien dylemat – czy dołożyć troszkę pieniędzy (których przecież nie ma za wiele) i liczyć na to, że efekty będą w trójnasób większe, czy oszczędzać przez ograniczenie kosztów i nie liczyć na prawie nic?

Ale to dylematy na 2015 rok. Jeśli skupilibyśmy się na Jarmarku Bożonarodzeniowym, to był tradycyjnie kolorowy, a może nawet bardziej, niż tradycyjnie. Pojawili się na nim ci wystawcy, którzy się zawsze pojawiają, ale byli też nowi. Po raz pierwszy zobaczyliśmy m.in. producentów serów łomnickich, którym do tej pory wystarczała Łomnica i tamtejszy jarmark pałacowy. To pewnie jakiś znak handlowych czasów.

Mogliśmy słyszeć kolędy w wykonaniu dziewczęcego duetu, który nienachalnie, w tle prezentował i utwory przypisane tym Świętom i subtelne, delikatne piosenki przystające do nastroju spotkania. Były kawy i ciasta, nalewki i miody, a nawet i drobne pieczyste tuż przy wejściu na żywym ogniu, więc można powiedzieć – kto przyjechał – ten się nie zawiódł.

Z całą pewnością przyciągały oko znakomite pluszaki. Teoretycznie bowiem miłe w dotyku przytulanki w rodzaju misiów i lalek można zdobyć w sieci hiper-, super-, czy gigamarketów i mieć wówczas absolutną niemal pewność, że przypłynęły one z Azji, i są sztuczne do ostatniej nitki. Te, które prezentowano w Galerii Izerskiej mają nie tylko urodę rękodzieła, ale niosą też pewność, że zostały uszyte z użyciem naturalnych materiałów, albo utkane przez bardzo konkretne osoby, znane z imienia, nazwiska i twarzy.

Jawi się więc idea, by w najbliższej możliwej przyszłości Izerska Galeria stała się może właśnie takim miejscem, gdzie dbający o swoje dziecko rodzic może kupić bezpieczną, izerską zabawkę, jakiej drugiej nie ma w całym świecie, bo rękodzieło jest przecież niepowtarzalne, a twórcy izerscy – unikatowi. Galeria bowiem wyróżnia się już dziś atmosferą, którą stworzyli jej gospodarze i dla której (bo raczej nie dla wielkich zysków) przyjeżdżają tu rękodzielnicy. A może się wyróżniać jeszcze bardziej, jeśli ona sama będzie oferowała coś, czego nie ma nikt inny – właśnie zabawki takie, jak sprzed pół wieku.

Nie tylko zresztą zabawki, bo przecież są i ręcznie rzeźbione świece, witraże, grafiki i akwarele, biżuteria, a nie tylko okolicznościowe – wielkanocne czy bożonarodzeniowe – ozdoby.

Taki choćby program, połączony z pomysłem na perspektywę istnienia Galerii jako jednego z najbardziej oryginalnych miejsc w regionie jest naszym, redakcyjnym głosem w dyskusji o tym, co może się dobrego stać w Galerii, w której dzieje się już wiele dobrego.

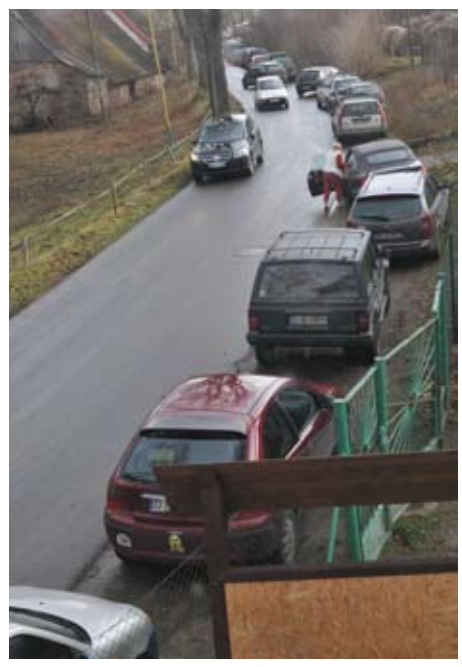

Nie w stajence, ale...

Kiermasz sulikowski

Jeśli rzeczywiście Chrystus urodził się w stajence (obórce), to najbardziej adekwatne miejskie do kiermaszu bożonarodzeniowego wybrał Sulików. Przy wsparciu tamtejszego Domu Kultury kiermasz, wraz z koncertem zorganizowano w wielkiej oborze w Studniskach Dolnych. Wprawdzie (poza kozłem, mocno zaciekawionym koncertem muzycznym), nie było zwierząt, ale siano, słoma, żłoby nadawały imprezie stosowny nastrój. Zapach siano został zdominowany przez zapach granego wina, ale akurat te aromaty nie kłóciły się z charakterem świąt – wręcz odwrotnie. A i kozioł miał szansę poznać coś innego (przynajmniej w zapachu).

W Studniskach ciężar organizacji wzięła na siebie Fundacja Inicjatyw Społecznych i Kultury Ludowej Kapela Pogranicze. – Koncert tej Kapeli jest jednym z pierwszych jej występów – powiedziała Leontyna Krawiec, reprezentująca Fundację. – Zresztą sama Kapela jest dziś osłabiona, jak reprezentacja piłkarska, ale nie przez kontuzje, tylko wręcz odwrotnie. Czas przedświąteczny angażuje wielu wokalistów do innych występów, więc w Studniskach można zobaczyć tylko część zespołu. Podobnie, ,jak i sam kiermasz to tylko część naszej aktywności przed Świętami. Będzie jeszcze (rozmawialiśmy14 grudnia – przyp. aut.) spotkanie wigilijne dla obu wsi – Studnisk Dolnych i Górnych, a właściwie dla seniorów z tych wsi. Okazuje się, że to spora grupa. Kiedy przy pomocy rad sołeckich oraz ogniw LZS, czy OSP, które też włączyły się w pracę przy organizacji tego spotkania, rozdysponowaliśmy zaproszenia, to oszacowaliśmy, że ludzi powyżej 70 roku życia jest u nas ok. osiemdziesięciu, a przy najmniej tylu potwierdziło chęć udziału w tym spotkaniu.

Fundacja ogniskuje wiele inicjatyw, ale przecież nie musi nikogo zastępować, bo wspomniane LZS, czy strażacy-ochotnicy (którzy będą w tym roku obchodzić 70-lecie istnienia swojej jednostki) podejmują sami rozmaite działania przy porządkowaniu bazy sportowej i społecznej.

A sam kiermasz jest okazją, by się poznać, zaprezentować, zaproponować sąsiadom swoje umiejętności muzyczne, kulinarne i artystyczne. Już w ubiegłym roku, kiedy także go zorganizowano, przyciągnął licznych gości, m.in. z nieodległych przecież Niemiec. Dla miejscowych jest okazją do integracji, dla gości – jedną z propozycji przygotowania do Świąt i zakupu niezbędnych akcesoriów.

Górskie schronisko nad wodą... na Pogórzu

Głos w dyskusji o izerskiej turystyce

W 1937 roku na wzgórzu nad Zaporą Pilchowicką otwarto „górskie schronisko". Zachwycały się nim ówczesne gazety, pisząc o nim w stylu, którego dziś w prasie nie uświadczysz: „(...) u dołu znajduje się zbiornik retencyjny z wieloma cyplami otoczony górami lśniącymi zielonym blaskiem (...) widok jest uroczy – pokryta w większej części śniegiem grań górska kontrastuje z zielenią lasów i łąk doliny." – Tak pisano o schronisku, którego już dawno nie. Przetrwało niewiele ponad 20 lat.

A pojemność tego obiektu była ogromna, bo sięgała łącznie niemal 250 miejsc wewnątrz i pięćset (!) „miejsc siedzących" w położonym tuż obok ogrodzie, z planami zwiększenia ich do... kolejnych pięciuset po zakończeniu budów dróg prowadzących nad Zaporę.

Schronisku nadano imię radcy C. Bachmanna, który był osobą wielce zasłużoną w budowie Zapory i właśnie przechodził na emeryturę. O tym, jaki panował tu ruch może świadczyć fakt, że na stałe zatrudnionych tu było 7 – 10 osób, a w weekendy (choć wówczas nie znano tego określenia i sobota była (w krótszym wprawdzie wymiarze, ale normalnym dniem pracy) – dodatkowo do 15 osób.

Koniec schroniska nastąpił także w maju, dokładnie 10 maja 1959 r. wieczorem wybuchł pożar, który przy porywistym wietrze rozprzestrzeniał się szybko i straże pożarne, który nadjechały z Jeleniej Góry, Lwówka, a nawet z Wałbrzycha nie zdołały uchronić obiektu. Pech chciał, że właśnie wtedy prowadzono przy zbiorniku prace konserwacyjne, więc poziom wody w Zalewie był wyjątkowo niski, co potęgowało trudności przy gaszeniu pożaru.

Czy powodem wybuchu ognia był niedopałek papierosa, czy zwarcie instalacji elektrycznej – tego lwówecka prokuratura, zajmująca się wyjaśnianiem sprawy nie ustaliła. Wykluczono umyślne podpalenie – pożar wybuchł w czasie kolacji, w obecności 80 turystów. Nikt nie został poparzony ani ranny, co uznano za sukces akcji ratowniczej.

Taki był koniec jednego z najładniejszych schronisk turystycznych w tym regionie pomysł odbudowania, choćby w części, obiektu o podobnym charakterze pojawił się kilka razy, ale jego realizacja – jeśli nawet dochodziła do skutku – nie była już tak efektowna. Hotel nad Zaporą, istniejący później przez kilkanaście lat nie miał już takiej atmosfery.

W toczonych współcześnie dyskusjach powtarza się narzekanie, że „dawniej było tak pięknie, a teraz – szaro. Były pałace, i dwory, wielkie schroniska, śliczne zakątki, punkty widokowe, ścieżki spacerowe, a teraz wszystko zarośnięte krzakami...".

To może i prawda, ale... Stylu życia na przełomie XIX/XX wieku, a sto lat później porównywać nie sposób. Faktycznie – były pałace, gdzie mieszkali i bawili się wielmoże, ale i czworaki, gdzie setki skrajnie ubogich ludzi na ten pałacowy blichtr pracowało od dziecięcych lat. Pojawiło się zjawisko turystyki, wówczas absolutnie nowe i wcześniej nieznane, stąd popularność Zapory Pilchowickiej urosła w kilka lat, bowiem „kolej żelazna" zaczęła od schyłku XIX w. być dostępna nawet dla ludzi mniej zamożnych.

Dziś nie do pomyślenia jest, by nazwać jakikolwiek obiekt imieniem żyjącej osoby zasłużonej dla regionu. W Polsce są dwa wyjątki – Jan Paweł II i Lech Wałęsa – ale inicjatywy nazwania lotniska, ulic i placów ich imieniem były też poddawane ostrej krytyce. A ludzie znani lokalnie, nawet jeśli są ewidentnie zasłużeni dla turystyki i gospodarki regionu, nawet jeśli nie żyją, to są „życzliwie" i długo badani w IPN, czy przypadkiem czegoś dawniej nie napisali. Taką mamy mentalność.

A ponadto – dziś trudno jest w okolicy szkół ponadgimnazjalnych znaleźć miejsce do zaparkowania, bo uczniowie dojeżdżają autami, które można kupić za pół marnej miesięcznej pensji, więc trudno kogoś namówić do pieszych wycieczek w okolicę.

A i czas płynie w innym tempie, rzadko można spotkać kogokolwiek, kto decyduje się (albo – kto może" wziąć należny miesięczny urlop „w jednym kawałku". Zmieniają się też odległości – dziś na Pogórzu częściej można spotkać dzieci, które spędziły jakąś część wakacji w Egipcie, Tunezji, Francji, czy Włoszech, niż te, które weszły ze swoją klasą (bo przecież nie z rodzicami, którzy nie mają na to czasu, czy ochoty) na Śnieżkę.

Nikt nie sięga po gazetę, by czytać o „górach lśniących zielonym blaskiem", tylko „wklikuje" hasło telefonie, łączy się z internetem, najchętniej wifi i widzi i te góry, i ten blask.

Z pewnością turystyka więc musi być inna. Jaka? Częściowo Pogórze ma taką ofertę, bo agroturystyka odpowiada na część nowych potrzeb. Rewitalizowane zamki i pałace są drugą sferą, choć bardzo często spełniają głównie funkcję „domów weselnych". Czy jest możliwe, by odświeżyć pojmowanie turystyki a Pogórzu w taki sposób, żeby – wykorzystując warunki naturalne i obiekty, lub też budując nowe – odpowiadać na współczesne potrzeby turystyki zmotoryzowanej, pospiesznej, czasami powierzchownej? – to może być temat dyskusji Czytelników na naszych łamach. Zapraszamy do wnoszenia swoich refleksji, najciekawsze wypowiedzi będziemy publikować.

Drugi orlik dla dzieci

...z zagranicy

W Siekierczynie w minionej kadencji powstał drugi „orlik", przy miejscowym zespole szkół. Pierwszy powstał – znacznie wcześniej – w Zarębie. Tym sposobem szkolna baza gminy, także sportowa, jest już bardzo przyzwoita. Niestety – rozbudowa i modernizacja bazy zbiegła się z widocznym niżem demograficznym. A to – z kolejnymi zjawiskami migracyjnymi. Można powiedzieć, że – podobnie, jak w innych miejscowościach, nie tylko Pogórza – im lepsze szkoły, tym mniej uczniów. Zresztą nie tylko uczniów i nie tylko dzieci. Trudno się w ogóle doliczyć mieszkańców gminy. Póki podstawą szacunków był meldunek, to można była przypuszczać, że liczba osób mieszkających w Siekierczynie oscyluje wokół 4,5 – 4,6 tys. Ale kiedy podstawą stało się faktyczne zamieszkanie, a nie formalne zameldowanie, to nagle „wyparowało" 700 – 800 osób. One – wraz z dziećmi – mieszkają często poza Siekierczynem, a nawet poza granicami Polski, tylko nie przywiązywały wagi do takich „drobiazgów" jak zameldowanie. Jeśli jednak przyszło za fakt zamieszkiwania płacić „w śmieciach", to przyszło opamiętanie i rachunki same się zweryfikowały. Siekierczyn nie jest w tym odosobniony – z Jeleniej Góry w taki sam sposób zniknęło kilka tysięcy ludzi...

Mury wspięły się do góry

Katastrofa budowlana, jaka miała miejsce w Gryfowie, w kwietniu br. odsłoniła potrzebę i szansę. Rzadko kiedy katastrofa przynosi szansę, ale w Gryfowie tak się właśnie stało.

Jednej nocy zwaliły się mury obronne, mające swój rodowód w średniowieczu, a służące do początku XXI wieku w charakterze (po części) murów oporowych dla garaży, komórek i podobnych wynalazków współczesności. Runął tylko odcinek fortyfikacji, ale odsłonił smutną prawdę, że nadwątlone są też kolejne.

Dzięki wsparciu resortu kultury i dziedzictwa narodowego oraz innych instytucji udało się pozyskać niemałą kwotę i kosztem ok. 2,5 mln złotych przywrócono do stanu dającego gwarancję bezpieczeństwa ponad 500 metrów starego muru. I okazało się, że warto zburzyć jeszcze kilka komórek, wyciąć samosiejki i pokazać ludziom, także przyjezdnym jedną z nieznanych do tej pory atrakcji Gryfowa Śląskiego – średniowieczne mury obronne miasta. Są inne, niż te, które znamy z Lwówka Śląskiego, ale także bardzo interesujące. Wprawie nie zachowały się wieże i basteje, ale widać stare furty, załomy, przypory i można sobie znacznie łatwiej wyobrazić, jak wyglądała obrona miasta w czasach, kiedy jest opoką były właśnie mury. W tym przypadku można zacytować klasyka, Greka Zorbę z filmu pod tym samym tytułem, który – widząc jak wali się w gruzy kolejka powiedział – „jaka piękna katastrofa...". Gryfowska nie była może tak efektowna w sensie filmowym, ale nie przyniosła – na szczęście – ofiar, a jej skutek może okazać się dobroczynny dla promocji miasta. Byleby znowu nie zaczął się proces odbudowy komórek, składzików i podobnych „budowli".

Na zdjęciach: Odcinki muru obronnego w Gryfowie, wzmocnione i odrestaurowane

Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich

Kiedyś musi być pierwszy raz...

Kiermasz inauguracyjny w Mirsku

– Pomysł, by i u nas zrobić kiermasz przedświąteczny pojawiał się co roku, ale zawsze brakowało ostatniego impulsu, a właściwie osoby, która powiedziałaby, że się tym zajmie – powiedział nam Bolesław Faściszewski, którego spotkaliśmy z mikrofonem na mirskim rynku, kiedy „ogarniał" przedświąteczną rzeczywistość. Impreza plenerowa, Bolek i mikrofon – to jest pewien rytuał w mieście i nikt się już temu nie dziwi. – Taką osobą, która okazała się skuteczna stała się Maria Rychter, szefowa zespołu „Izerskie Bogdanki", ale nie tylko. Ze względu na swoje liczne podróże i pobyty w Niemczech, także w okresach przedświątecznych uległa magii tamtych jarmarków i uznała, że skoro za Nysą są one oczekiwaną atrakcją dla wielu, to dlaczego inaczej ma być w mieście nad Kwisą?

– Potraktowaliśmy to jako próbę, ale myślę, że na tyle udaną, że już dziś można powiedzieć, że będzie zapewne powtórzona za rok, a może wejdzie na stałe do kalendarza naszych poczynań – mówi B. Faściszewski. – Przyjechał do nas 27 wystawców! Z tego co wiem, większość jest zadowolona z efektów handlu, a niektórzy musieli pokonać kawał drogi, bo są ludzie nie tylko z Mirska i Świeradowa-Zdroju, ale też z Pławnej, Płuczek, Gryfowa Śląskiego, Nowogrodźca i in.

Przyjechali też goście z Goerlitz. Niemiecki zespół śpiewaczy pod skomplikowaną nazwą (nie przystającą do świąt, ale nie ma to znaczenia – Bedos Erste Goerlitzer Shanty Gruppe stanowił) – poza Bogdankami i Łużyczankami z Pobiednej oraz miejscowymi gimnazjalistkami, prezentującymi tradycyjne kolędy – prawdziwą atrakcję. Niemcy pokazali, jak można bawić się na scenie, a ich utwory okazały się na tyle odmienne od polskich kolęd, że wręcz egzotyczne. Tym bardziej, że śpiewane na kilka głosów, czego w polskich kolędach nie uświadczysz. Dość skomplikowane tytuły piosenek niemieckich, tłumaczone na polski przez niemieckiego konferansjera też zwracały uwagę, bo nie były to „jakieś" tytuły, a – wedle tamtejszej tradycji – niemalże streszczenia utworów, jak choćby: „Wysoko na żółtym wozie siedzę sobie na koźle z woźnicą", czy „Do tańca idzie dziewczyna ze słotą wstążką we włosach". Resztę Niemcy dośpiewali, a słuchacze musieli wykazywać się wyobraźnią.

W dwóch rzędach namiotów też nikt się nie nudził, pod niektórymi po niespełna trzech godzinach zabrakło towaru, bo entuzjazm kupujących był większy, niż optymizm sprzedających. Zapewne za rok handlowcy potraktują kiermasz jeszcze bardziej serio.

Kamienie i kwiaty? To się ze sobą nie kłóci...

W Świeradowie-Zdroju

Czy butelka, albo samochód mogą toczyć się pod górę „same z siebie"? Mogą. Dlaczego? A to już jest trudniejsze pytanie.

– Jest takie miejsce, między Świeradowem a Czerniawą – powiedziała Nam Dorota Marek – gdzie takie zjawisko dostrzeżono. Nie przeprowadziliśmy tam żadnych większych badań, chociaż pewnie w jakiejś przyszłości warto je podjąć, ale na skutek nieokreślonych tymczasem sił gołym okiem niedowiarki mogą się o tym przekonać. Jeden z naszych gości wykonał jeszcze inny eksperyment – zważył w mieście kupione na straganie jagody. Wyszło mu, że kupił równo kilogram, ale w tamtym miejscu ważyły one... ok. 800 g! Są najwyraźniej jakieś zakłócenia w sile grawitacji, które się tam ujawniają i przybierają różne formy. Żeby każdy mógł sobie to wszystko zweryfikować na własny użytek, postawiliśmy tam kamień i opisaliśmy to miejsce jako „punkt antygrawitacyjny".

Takich kamieni w Świeradowie jest dużo więcej – dokładnie 17. Ich liczba wciąż się powiększa. Wprawdzie ten „antygrawitacyjny" jest jedyny i niepowtarzalny, ale są inne, które oznaczają i atrakcje Świeradowa-Zdroju (jak „Czarci Młyn" i najbardziej charakterystyczne obiekty hotelowe, jak „Cotonina", i in. Zasada jest jedna – jeśli właściciel obiektu chce taki kamień ufundować i traktować go jako promocję swoich usług musi zyskać akceptację projektu graficznego. Chodzi bowiem o to, żeby wszystko utrzymać w konsekwentnym stylu i w logice miejskiego krajobrazu. Czasami jest to trudne, ale zawsze możliwe. Jeden z hotelarzy, który zbudował swój obiekt niemal od podstaw nie od razu wpadł na pomysł, ale w końcu na jego kamieniu wykuto zarys kwiatów rododendronu, który – jak powszechnie wiadomo – jest jednym z wiosennych symboli miasta.

– Ale to nie są jedyna kamienie, charakterystyczne dla nas – wyjaśnia D. Marek. – Są i takie wbudowane w chodniki, intrygujące spacerowiczów, jak choćby ten, z napisem „Święte Źródło" i datą 1572. Precyzyjnie wkomponowane w miejski krajobraz są jedną z atrakcji.

Zapowiada się kolejna. W okolicach Świeradowa, najczęściej w lasach są kolejne kamienie, które albo są związane z jakąś opowieścią (o „Narzeczeńskim Kamieniu" piszemy w innym miejscu tej gazety – przyp. aut.),, albo szczególną pamiątką z rozmaitych powodów. – Chcielibyśmy możliwie szybko – mówi B. Marek – opisać je wszystkie, przygotować mapki, żeby każdy mógł sobie podjąć spacer i w trakcie pobytu w uzdrowisku odwiedzić te miejsca, poznać ich historię. To nie będzie w ścisłym tego słowa znaczeniu szlak wędrówki, a raczej rodzaj cyklu spacerów do miejsc dla nas ważnych, a jedna z tych emocjonalnych propozycji dla naszych gości, żeby mogli w niekrępujący sposób, wybierając trasy odpowiednie dla siebie odpoczywać w toku takiego spaceru.

Pięć razy przedsiębiorcze kobiety

Pięćset tysięcy złotych

Ponad pół miliona złotych kosztował projekt, dzięki któremu w pięciu wsiach gminy Lubań stworzono miejsca, w których kobiety – rękodzielniczki będą mogły prezentować i sprzedawać swoje prace. W Pisarzowicach, Nawojowie Łużyckim, Mściszowie, Henrykowie Lubańskim i Kościelnikach Dolnych powstały wiaty, zadaszenia, a niekiedy – całe kryte obiekty, których budowa miała na celu stworzenia trwałych obiektów, by można było prezentować nie tylko ozdoby okolicznościowe – bożonarodzeniowe i wielkanocne, ale też wszystkie te wyroby, które służą w codziennym gospodarstwie. Oczywiście – ozdób też nie zabraknie, a wśród nich „sztandarowym" pomysłem są korale z drewna, które wytwarzane są przede wszystkim w Henrykowie Lubańskim. Dzięki tej pracy zaktywizowało się też kilka wiejskich stowarzyszeń, m.in. Rozwoju Henrykowa Lubańskiego, Miłośników Wsi Pisarzowice, Stowarzyszenie Mieszkańców Jałowca, czy Stowarzyszenie na rzecz rozwoju wsi Nawojów Łużycki.

Rozśpiewany Nowogrodziec

Święta Bożego Narodzenia, jak rzadko które sprzyjają temu, żeby na estrady kiermaszów zaprosić swoje, bardzo lokalne zespoły. I zdarza się, że pojawiają się one, ale... mało gdzie tak licznie, jak to bywa w Nowogrodźcu. Akurat wokalne talenty tej gminy zaimponowały nam szalenie, bowiem w trakcie imprezy „Kolęda na nowogrodzieckim Rynku" pojawiły się m.in. zespoły: uczniów ze szkoły w Nowej Wsi, Społecznego Ogniska Muzycznego im. Schnabla, dzieci z przedszkola publicznego w Nowogrodźcu, uczniowie SP w Nowogrodźcu, uczniowie SP w Czernej, uczniowie SP w Wykrotach i tamtejszego Gimnazjum, Chór Śrowiskowy „Harmonia", zespół folklorystyczny z kapelą „Milikowianki" oraz zespoły śpiewacze „Wykroty-Zagajnik" i „Gościszowianki", a ponadto zespół „Małe Herody" z Gościszowa, zespół wokalny przy SP w Gierałtowie, Gminny Zespół Pieśni i Tańca Nowogrodziec... uff – wymienić jednym tchem nie sposób.

Z całą pewnością Nowogrodziec jest w stanie wygrać śpiewająco niejedną konkurencję.

Inwestujemy

W Grudzy – budują na potęgę

W ostatnim wydaniu „Ech Izerskich" napisaliśmy, że nieopodal Grudzy (gmina Mirsk) powstał bardzo sympatyczny punkt widokowy. Mały parking, ławy i stół pozwalają odpocząć podróżnym i dają szansę – przy dobrej pogodzie – zerknąć na długie pasmo Karkonoszy. Jeszcze nie wyschła farba na wydaniu wrześniowym naszej gazety, a już dostaliśmy z Grudzy kolejne pismo.

Wprawdzie napisane jest takim językiem, że trzeba je przetłumaczyć na polski z polskiego, ale sprawa jest poważna. Napisano m.in. tak (...) w ramach Programu osi 4 „Leader" działania 413 (...) objętego PROW została zrealizowana operacja „Przystanek turystyczny Grudza". I dalej, że zadanie zostało zrealizowane z udziałem środków Europejskiego Funduszu Rolnego na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich oraz, że tym samym „nastąpi wzbogacenie przestrzeni publicznej terenu obok kościoła, gdzie zbiegają się cztery szlaki, wykorzystanie walorów historycznych i przyrodniczych, zasobów naturalnych znajdujących się na obszarze LGD Partnerstwo Izerskie".

Jako że lubimy wiedzieć o czym piszemy, to pojechaliśmy do Grudzy, żeby to wszystko zobaczyć na własne oczy. Wygląda to faktycznie obiecująco, chociaż wspomniana „operacja" nie jest jeszcze zakończona, bo sporo wciąż zostało do zrobienia. Ale widać już „kawał dobrej roboty" – nie tylko oczyszczony plac, wyłożony równiutko kostką, będącą na ukończeniu wiatę, pod którą będzie można się schronić, ale i inne fragmenty tej inwestycji. Obiecujemy, że pojedziemy tam jeszcze raz, zapewne wiosną, żeby zobaczyć samemu dzieło już skończone i pokazać innym, jak można zrobić coś pięknego z niczego.

Prosimy też wszystkich Czytelników o informacje – co się dzieje dobrego w sołectwach, żebyśmy mogli to sfotografować, opisać, pochwalić i dać za przykład. Nie musi to być informacja z powołaniem się na numery osi i działań, bo coś takiego trudno przeczytać, a jeszcze trudniej zrozumieć. I – na marginesie – lepiej pisać po faktycznym zakończeniu, bo „Echa" chcą być gazetą w pełni wiarygodną – dla Czytelników i dzięki Czytelnikom.

I na dowód, że lubimy chwalić i bywamy w miejscach, o których piszemy publikujemy też kolejną inwestycję z Grudzy, bo powstają tam jedna po drugiej. Nieopodal placu, o którym mowa zbudowano nieduży, ale wystarczający i bardzo kolorowy park zabaw dla dzieci. Maluchów w Grudzy nie jest za wiele, ale... jak potencjalni rodzice zobaczą, jakie piękne miejsce do zabawy powstało, to się może zastanowią nad możliwością powiększenia rodziny.

Dobra moda

W Zawidowie, w miejskim parku pojawiła się siłownia zewnętrzna, czyli – mówiąc językiem „nowych biznesmenów" – outdoor fittnes. Niezależnie od tego, jak będziemy tę inicjatywę nazywać – z pewnością jest przydatna, nie tylko dla dzieci, które się szybko nudzą takimi rozrywkami, ale przede wszystkim dla dorosłych (w tym dorosłych z dziećmi, bo z kolei rodzice są w stanie poświęcić wiele, żeby zająć czymkolwiek poza domem kilkulatków, których energia roznosi). Takie siłownie pojawiają się w coraz mniejszych miejscowościach, w większych jest ich po kilka, lub nawet kilkanaście. Tej modzie możemy tylko przyklasnąć.

Włosienica ujarzmiona

Prawie 10 km długości ma potok Włosienica, który jest dopływem Czerwonej Wody, jednak nim do niej dopłynie – nierzadko czyni szkody po drodze, m.in. w Platerówce i Włosieniu. Można już chyba powiedzieć – „czynił", bo trwają ostatnie prace przy jego regulacji. Na długich odcinkach stanęły wysokie mury, które mają chronić przyległe gospodarstw w okresach nagłego wezbrania wód. Kamienne mury może nie są tak malownicze, jak można byłoby sobie życzyć, ale z pewnością będą zabezpieczać ludzi i mienie przed skutkami kataklizmowych opadów.

Na zdjęciu: odcinek potoku we Włosieniu.

Ten budynek to rodzaj Centrum Copernicus w Świeradowie-Zdroju. Jedna z większych atrakcji Pogórza Izerskiego będzie przyjmować gości od wiosny. Więcej na stronie 14.

To mój pierwszy raz...

Między ludzi

Angelika Buczek z Małej Kamienicy swoje plastyczne uzdolnienia do tej pory wykorzystywała wyłącznie w obszarze „rodzinno-towarzyskim". Bywają ludzie, którzy piszą „do szuflady", albo fotografują „do szuflady" i nie dają się przekonać, że szkoda ich talentu. We współczesnym świecie często wygrywają mniej utalentowani, ale z większym tupetem.

– Postanowiłam pokazać szerzej co potrafię – powiedziała A. Buczek. – Jasne, że „z pewną nieśmiałością", bo do tej pory nigdy nie konfrontowałem swoich prac z opinią zwyczajnego, potencjalnego klienta. A można przypuszczać, że rodzina, czy znajomi w swoich opiniach mogą być nazbyt uprzejmi.

– I...?

– Spora ulga – powiedziała – bo sporo ludzi się interesuje, niektórzy kupują. Staram się, by moje prace były rękodziełem ponad wszelką wątpliwość, sama zbieram elementy naturalnego tworzywa – szyszki, głogi, pąki róż... Czasami to cała wyprawa, bo to nie może być przypadkowa szyszka, a taka, która akurat pasuje do całości kompozycji. Niektóre elementy stroików kupuję, ale już zdobienia, w decoupage – to moja sprawa. Są drobiazgi, nad którymi siedzę godzinami, bo pracochłonne. A siąść mogę tylko późnym wieczorem, bo mój dwuletni syn w każdej chwili mi udowadnia, że cała moja uwaga musi być poświęcona właśnie jemu. Ale kiedy zasypia, mogę się skupić na tym, co mnie relaksuje i – jak się okazuje – podoba się też ludziom na tyle, że chcą moje prace kupować.

Ćwiczenie czyni mistrza

Z Włosienia

Aleksandra Balcerowicz (zbieżność nazwisk z jednym z najwybitniejszych ekonomistów Polski jest – pozornie – przypadkowa) mieszka we Włosieniu (gmina Platerówka). Spotkaliśmy się z nią przeszło rok temu na kiermaszu rękodzieła, kiedy zaczynała, ze sporym impetem, swoją „przygodę z rynkiem". Odświeżyliśmy ostatnio tę znajomość.

– Co się zmieniło?

– Sporo – powiedziała. – U mnie m.in. asortyment prac, które wystawiam, bo jest szerszy. Są – poza bombkami i ozdobami decoupage także kalendarze z aplikacjami, czapeczki, i in. Po tym roku, który mam za sobą już inaczej postrzegam klientów i ich gusta. Myślę, że to pozwala na pracę nad takimi ozdobami, które nadal są „moje" i mogę się pod nimi podpisać, a z drugiej strony – bardziej odpowiadają tym, którzy chcieliby je kupić. Chociaż... może z punktu widzenia makroekonomii i prof. Balcerowicza rynek jest poukładany w miarę logicznie, a oczekiwania klientów – bardziej przewidywalne, niż kiedy się na to patrzy z perspektywy mojego Włosienia. Są takie prace, z których naprawdę jestem dumna, ale ludzie na to nie zwracają uwagi, a są i takie, które najchętniej bym schowała, a one znajdują klientów. Pamiętam jedną z pierwszych moich ozdób, właściwie nie wiem – dlaczego wzięłam ją na kiermasz? Była – moim zdaniem – dość pokraczna, nierówna. Jedna z pań powiedziała, że właśnie tę musi kupić, i właśnie dlatego, bo w niedoskonałości jest ten urok, którego nie mają przedmioty „spod sztancy". Może.

A z okresu na okres są wśród klientów trendy, które nie zawsze można przewidzieć. W tym roku – dla przykładu – bombki cieszą się mniejszym zainteresowaniem, chyba, że są z aniołkami... Może nadchodzi „czas anioła"?

Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich

Gwiazdy nad Izerską Łąką

... a dodatkowo włączymy sobie Liberec, z przerwą na... pszczoły

Od pozwolenia na budowę do oddania Centrum Edukacji Ekologicznej Natura 2000 “Izerska Łąka” w Świeradowie Zdroju minęło raptem 9 miesięcy. Prace zostały ukończone (piszemy to w połowie grudnia 2014) i po etapie kontroli sprawności sprzętu i cyklu odbiorów Centrum zacznie przyjmować gości.

Budynek ma pozornie nieefektowną architekturę, ale jest niezwykle funkcjonalny. Pomieścił sporą salę z wyposażeniem elektronicznym i jeszcze większą salę... kinową. W dodatku z plafonem, który jest właściwie konstrukcją nieba. Każda lampka na nim odpowiada w rzeczywistości jakiejś gwieździe, a że gwiazdy mają w charakterze, iż jedne świecą mocniej, a drugiej – słabiej, to i taką prawidłowość możemy zaobserwować na sklepieniu sali kinowej Centrum. – Po prostu – wyjaśnia nam Dorota Marek, kierownik referatu promocji UM – malutkie ledy tak zostały wysterowane, by siła blasku konkretnych gwiazd odpowiadała temu, co widzimy na świeradowskim niebie.

O tym, że nie opodal Świeradowa-Zdroju jest miejsce na Hali Izerskiej, które stanowi uznany, jeden z nielicznych w Europie, „Rezerwat Ciemnego Nieba” pisaliśmy już w „Echach Izerskich”. Zjawisko „zaśmiecania światłem” nieba zyskuje coraz większe zainteresowania i wzbudza wiele sprzeciwów w różnych częściach świata. Nie ma bowiem zgody wszystkich na uboczne skutki rozmaitych iluminacji, a nawet oświetlenia drogowego. Ono wprawdzie sprzyja bezpieczeństwu, ale nie wszędzie, i nie w każdym środowisku zyskuje akceptację – bywa też powodem sąsiedzkich utarczek. A jest duże i coraz większe, bo światło w przestrzeni miejskiej już się rozsiadło i wciąż się rozpycha. Dla przykładu: tylko w – niezbyt wielkiej przecież Jeleniej Górze stoi 8 TYSIĘCY LAMP ULICZNYCH! A fani światła postanowili organizować dodatkowo „Festiwale Światła”. Coraz modniejsza staje się trwała iluminacja zabytkowych obiektów. W tej sytuacji miejsca, gdzie można widzieć gwiazdy z ich naturalną siłą blasku stają się coraz rzadsze i przez ekologów bronione są z coraz większą determinacją – tak jak rezerwat na Hali Izerskiej

Polsko-czeski Izerski Park Ciemnego Nieba (IPCN) obejmuje swym zasięgiem górną, graniczną część doliny Izery oraz dolinę Jizerki (razem prawie 75 km2). Obie doliny tworzą jedno z najpiękniejszych miejsc w Górach Izerskich, i to nie tylko w dzień. W pogodną noc na tutejszym niebie zobaczymy prawie 2000 gwiazd i wspaniały pas Drogi Mlecznej. Widok ten, niestety, staje się coraz rzadszy, a wszystko za sprawą zanieczyszczenia światłem. W dużych miastach jasność nocnego nieba jest tak duża, że widoczne są tylko nieliczne, najjaśniejsze gwiazdy i planety oraz Księżyc. IPCN jest jedynym na świecie parkiem ciemnego nieba położonym na terenie dwóch państw i był pierwszym takim obszarem, który powstał w Europie. Park ciemnego nieba w Górach Izerskich ma przybliżyć nam problem zanieczyszczenia światłem oraz piękno i bogactwo kosmosu. Spoglądając nocą w izerskie niebo możemy zobaczyć Drogę Mleczną, mgławice, galaktyki, gromady gwiazd, czasem kometę... W obserwacjach pomagają astronomowie, których można spotkać na izerskich imprezach astronomicznych.
Tutaj ciekawostki
http://swieradowzdroj.pl/2213-swieradowzdroj-astro-izery-projekt

– Chcemy pokazać i jedno, i drugie, to znaczy – szanse i zagrożenia, żeby każdy wiedział, jak to wygląda – powiedziała Dorota Marek. – Sztuczne światło jest niezbędne, w dodatku zdobi, ale czy wszędzie jest konieczne? Na Izerskiej Łące Pokazujemy też, na przykładzie zamontowanych prawdziwych lamp, jak wiele zależy od kształtu i sposobu montowania kloszy. To w sporej części decyduje o tym, czy światło pomaga, czy rozprasza.

W sali kinowej zasiądzie 60 osób, będzie można oglądać filmy w technologii 3D, przede wszystkim edukacyjne, ale też z wygodnego fotela zobaczyć na plafonie nieboskłon. Operator ze swego pulpitu może pokazywać wszystko naraz, albo każdy gwiazdozbiór osobno. Z pewnością nie jest to wymiar Centrum Copernicus w Toruniu, ale od czegoś trzeba zacząć. Dwa mocne teleskopu pozwolą oglądać prawdziwe gwiazdy na prawdziwym niebie, jeśli komuś nie wystarczy sztuczne.

– Ale pokażemy też praktycznie, jak bardzo łuna świateł pobliskich miast zakłóca postrzeganie gwiazd nad nami – dodaje D. Marek. – Elementem tego programu jest m.in. opcja, że w trakcie pokazu włączamy tło świateł czterech miast – Świeradowa-Zdroju i nieodległych od Świeradowa-Zdroju Bogatyni, ,Jeleniej Góry i Liberca. Możemy je włączyć razem lub osobno. Każdy wtedy zobaczy, jak bardzo tracą wyrazistość gwiazdy, gdy zapalają się latarnie w tych miejscowościach.

Nazwa „Izerska Łąka” zobowiązuje także do innych działań. Wprawdzie jeszcze przez kilka miesięcy, aż do wiosny, tego nie będzie widać, ale spory obszar wokół tego budynku będzie jedną wielką łąką, z charakterystycznymi dla tego regionu roślinami, w tym – miododajnymi. A jeśli będą one, to powinny być i pszczoły. I będą – już jest dla nich przygotowany specjalny ul.

– Specjalny – wyjaśnia D. Marek – bo zaopatrzony w kamery i mikrofony. Goście siedzący w sali kinowej będą mogli zobaczyć uwijające się we wnętrzu ula pszczoły i posłuchać, jak one ze sobą „rozmawiają”. W niewielu miejscach świata istnieje taka możliwość, by bezpiecznie podglądać i podsłuchiwać pszczoły, w dodatku – w niczym im nie przeszkadzając. Chcemy, żeby w jakiejś części pszczoły były naszą trzecią specjalnością w dziedzinie szeroko rozumianej fauny. Po legendarnej żabie, którą w historii Świeradowa-Zdroju „oswoiliśmy” wieki temu, bo wedle podań to za jej przyczyną odkryto dobroczynne działanie naszych wód mineralnych, będzie pszczoła i pojawia się wizja cietrzewia. Można żartem powiedzieć, że w promocji rozmaitych walorów naszego miasta „pracują już” płazy, owady i ptaki. Są też i kamienie (o tym piszemy w innym miejscu tej gazety, bo to „zupełnie inna bajka”. Chcielibyśmy bowiem i naszym mieszkańcom, i naszym gościom przybliżyć wszystkie bogactwa, jakimi dysponujemy i możliwie najnowocześniejszymi metodami. A jeśli do tego dodamy prowadzony przez Nadleśnictwo „Ogród Trzech Żywiołów” (pisaliśmy o nim w jednym z wydań „Ech”), to wszystko ilustruje pewien komplet wizerunku miasta.

Szczegóły można znaleźć na stronie www.swieradowzdroj.pl lub zapytać o nie osobiście lub telefonicznie w Referacie ds. Promocji Gminy, Turystyki Kultury i Sportu w Świeradowie-Zdroju, tel. 75/7136482, it@swieradowzdroj.pl.

XX Powiatowy Konkurs Szopek Betlejemskich

Betlejemski jubileusz w Niwnicach

Konkurs Szopek Betlejemskich organizowany jest w Szkole Podstawowej im. J. Gielniaka w Niwnicach od dwudziestu lat. Odbywa się tradycyjnie w jednej z najmniejszych, a z pewnością – najbardziej oddalonych szkół gminy, ale na tę okazję właśnie ona stanowi centrum zainteresowania młodych artystów.

Rywalizacja ma rangę konkursu międzyszkolnego i obejmuje swoim zasięgiem teren całego powiatu lwóweckiego, sięga więc daleko poza obszar gminy.

Głównym celem konkursu jest inspirowanie dzieci do twórczej pracy, tworzenie tradycji Szkoły Podstawowej w Niwnicach, kształtowanie postaw szacunku, tolerancji oraz integracja szkół powiatu lwóweckiego. Początkowo organizatorem i pomysłodawcą tego wydarzenia był przedstawiciel kadry pedagogicznej tej szkoły – Aleksander Hołoga, znany nie tylko z tej działalności, ale przede wszystkim z pracy z zespołem muzycznym „walońskim" i z talentów rzeźbiarskich. To jego dziełem – także pokazywanym w Niwnicach – są charakterystyczne „smętki"i „cierpiałki" – niewielkie rzeźby wykonywane w stylu artystów ludowych regionu.

W konkursie udział wzięli uczniowie z klas I-VI szkół podstawowych, uczniowie z klas gimnazjalnych oraz dzieci w wieku przedszkolnym z powiatu lwóweckiego. W sumie zgłoszono 57 prac, spośród których Jury wyłoniło laureatów w czterech kategoriach wiekowych: 3-6 lat, 7-9 lat, 10-12 lat oraz 13-15 lat. Oprócz przyznanych kolejno miejsc na podium nie zabrakło także dodatkowych wyróżnień oraz nagród specjalnych przyznanych przez przedstawicieli instytucji państwowych i władz państwowych.

Poseł Zofia Czernow, obecna przy podsumowaniu nagrodziła za przepiękne wykonaną szopkę Mikołaja Wolara ze Szkoły Podstawowej w Gryfowie Śląskim, reprezentanta grupy wiekowej 10-12 lat.

A nas najbardziej zadziwia, że młodzi twórcy (ale i ich rodzice, bo nad szopkami pracują wiele tygodni całe rodziny) wkładają ogromnie wiele pasji nie tylko w precyzyjne przygotowanie szopek, ale przede wszystkim – w wybranie oryginalnego tworzywa. W ubiegłej edycji zadziwiła nas wielka koronkowa bombka, we wnętrzu której zmieściła się cała scenka z betlejemskiej stajenki, a figurki wykonane były także z białej koronki. W tym roku rozmaitość tworzywa była jeszcze większa – szopki układano i ziarenek kawy, i z brzozowych malutkich witek, z makaronu, papieru, i in.

Rzadko się zdarza, by słodkim finałem – jak w Niwnicach – był ogromny tort, który – co oczywiste w takiej sytuacji – ozdobiony został rysunkiem szopki.

Czy Mirsk pochodzi od miru?

Zagadki nazw i symboli

Swego czasu Mirsk nosił nazwę Friedeberg – w tłumaczeniu „Spokojna Góra". Jest Jelenia – mogłaby być i Spokojna. Ale Komisja Nazewnicza, która ustalała po II wojnie światowej nazwy miejscowości na Ziemiach ZAchodnich nie zgodziła się z taką sugestią. Szukano w większości przypadków odpowiednika, który może i nawiązywałby do nazwy sprzed 1945 roku, ale nie nachalnie i nie wprost. Zamiast Loewenberg powstał więc Lwówek Śląski, zamiast „Greiffenberg" – Gryfów Śląski. Śląski, bowiem leżał na prawym brzegu Kwisy, która była rzeką graniczną dla historycznych połaci Śląska (po prawej) i Górnych Łużyc (po lewej stronie rzeki).

Stąd też – gdy jedną miejscowość dzieliła rzeka na dwie części, to bywało – jak przy okazji Nawojowa, że powstał Nawojów Łużycki i Nawojów Śląski, ale... to się stało dopiero w 1947 roku, bo przez dwa lata (1945-47) dzisiejszy Nawojów Łużycki nosił nazwę Słowiany Wielkie, a Śląski – Słowiany Małe.

A wspomniany w tytule Mirsk? Zapewne stało się tak, że użyto do nadania nowej nazwy

przekładu „ideowego", zachowując wątek określenia „spokojny", ale w nowym brzmieniu. A że „mir", także w języku polskim, choć już archaicznym, to określenie tożsame jak „spokój" (vide „mir domowy", które zachował jeszcze kodeks karny, przewidując sankcje za „naruszenie miru domowego"), to nazwano miejscowość nie „Spokojną Górą Śląską", a Mirskiem.

Ale zachował się herb, który do dziś jest eksponowany, m.in. przez lwa na mirskim Rynku. Lew trzyma w łapach tarczę herbową na którym jest sokół, trzymający w dziobie upolowanego gołębia, w tle widać wzgórze, na szczycie którego stoi krzyż. Ten pomnik – zwieńczenie fontanny – właśnie został odnowiony. Czy to oznacza, że odnawiamy symbole miasta z okresu, kiedy władali nim Niemcy?

I tak, i nie. To prawda, że ten herb istniał przed 1945 rokiem, jako oficjalny znak miasta, ale... bardzo długo przed tym rokiem. Herb taki został bowiem nadany Mirskowi jeszcze w XIV w., dokładnie – w 1337 roku przez piastowskiego władcę, Henryka I Jaworskiego, który wówczas nadał osadzie prawa miejskie. Nazywała się wówczas... Friedberge, Fridbereg, albo Friedberg – dokładnie nie wiadomo, bowiem w różnych dokumentach zapisywano tę nazwę inaczej.

Na każdą porę roku...

...aleja w Gronowie

Od Pokrzywnika (gmina Zgorzelec) aż do pałacu w Gronowie (swego czasu miejsca pobytu wojsk w okresie batalii napoleońskich, dziś jeden z etapów na Drodze Św. Jakuba) rosną dęby. Z obu stron drogi, na długości ok. 500 m ponad 70 majestatycznych dębów szypułkowych stanowi jeden z najcenniejszych na Pogórzu Izerskim zabytków przyrody w tej formie – grupy drzew. Obwody niektórych przekraczają 400 cm, więc także w „konkurencji solowej" miałyby one charakter pomników, a w grupie są wręcz bezkonkurencyjne.

Faktem jest, jak powiedzieli nam dendrolodzy, że dęby w środowisku drzew są równie piękne, jak... niekoniecznie całkowicie przyjazne innym drzewom. – Odpowiedzmy sobie na pytanie – powiedzieli specjaliści – dlaczego łatwiej jest zobaczyć grupę dębów, albo samotny dąb, niż drzewo tego gatunku rosnące w gęstym lesie między innymi? Dębina jest bowiem drzewem, które wydziela dużo garbników, stąd w okresie średniowiecza używano dębowej kory do garbowania skór zwierzęcych. I dlatego też niektóre drzewa źle znoszą sąsiedztwo dębów. Zresztą – co łatwo zauważyć – pod dębami raczej nie wyrastają drzewka innych gatunków, bo właśnie dębowe garbniki skutecznie „zniechęcają" do takiej próby. Dąb, uznawany – i słusznie – za szlachetne drzewo ma swoje sposoby, żeby bronić się przed leśnym pospólstwem. Ale między samymi dębami panuje pełna zgoda, stąd mogła się przez stulecia uformować tak imponująca aleja, jak w Gronowie.

Zwyczajna Wigilia w zwyczajnej (?) wsi

Wieczór w Płóczkach

Czasami wystarczy inicjatywa jednej osoby, lub co najwyżej małej grupki, żeby coś dobrego się stało, co zainteresuje wielu. Można powiedzieć, że to wszystko jest zwyczajne i konwencjonalne, bo organizacje wigilijnych wieczerzy zdarzają się w grudniu często. Tyle tylko, że spotkanie spotkaniu nierówne – jedne są sztywne i konwencjonalne, inne – zdecydowanie bardziej naturalne, jakby wynikały z autentycznej potrzeby, a nie z dyktatu konwenansu.

Taka była wieczerze wigilijna w Płóczkach, nieopodal Lwówka Śląskiego, we wsi, do której z reguły nie zajeżdża się przypadkiem, bowiem to nie jest wieś, przez którą przebiega jakaś droga, która prowadzi stąd do innej, kolejnej wsi. Jeśli ktoś zajeżdża do Płóczek, to znaczy, że właśnie tutaj chciał przyjechać, bo stąd .już dalej drogi nie ma – co najwyżej można wrócić.

W Płóczkach bywaliśmy z reporterską wizytą już kilka razy, bo są tu i oryginalne na wskroś nowoczesne gospodarstwa agroturystyczne, aczkolwiek zorganizowane w starych, szachulcowych domach, adaptowanych do roli niemal pensjonatów, z jackuzzi, sauną, itp. Są tu znakomite przykłady budownictwa, o jakie trudno gdzie indziej. Wprawdzie liczne domy są naruszone „zębem czasu", ale za to nikt ich nie popsuł pseudonowoczesnymi przeróbkami, dachami z eternitu, plastykowymi oknami, czy tym podobnymi wynalazkami schyłkowych lat XX wieku.

I – to przede wszystkim – są interesujący ludzie, którzy starają się „ogarnąć" i zintegrować tę społeczność, której nie zawsze chce się przejawiać większą aktywność, ale wystarczy impuls, żeby tak właśnie było.

Dlatego ten wieczór w Płóczkach, z dziećmi, którzy pod opieką pedagogów przygotowywały pracowicie swój poważny występ, z potrawami na stole, z mieszkańcami, którzy nie zawsze się otwierają na siebie, a tym bardziej na przyjezdnych był właśnie taki, jaka winna być Wigilia – aromatyczny, trochę niedopowiedziany, gdzie każdy gość „z drogi" znalazł swój talerz i wiedział, że jest przy stole oczekiwany, chociaż nie do końca poznany.

Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich

Mebel urodziwy

Wprawdzie nie widuje się za często maszyn rolniczych w roli... domowych biblioteczek, ale i takie rzeczy się zdarzają. W jednym w podmiejskich domów Leśnej natknęliśmy się na taką właśnie biblioteczkę. Z pewnością oryginalna i z całą pewnością ktoś wykazał się pomysłowością, bo taka adaptacja zabytkowej już maszyny i przywołanie jej do nowego życia wymaga fantazji i wyobraźni. Gratulujemy jednego, drugiego i... odwagi w kreacji, bo zapewne – jak wszystko, co nietypowe – jednym się to podoba, a innym – niespecjalnie. My jesteśmy pełni uznania.

Podobnie, jak w przypadku drugiego sposobu wykorzystania starych grabi z drewnianymi zębami jako efektownego wieszaka. Znamy liczne przypadki, kiedy takie grabie posłużyły co najwyżej do rozpałki, ale dopiero jeden (dokumentujemy to na zdjęciu), że stały się efektownym wieszakiem w – jakby to powiedział fachowiec) w rustykalnym stylu.

(Uwaga: według Słownika Języka Polskiego, wyd. PWN, określenie „rustykalność” oznacza związek ze wsią i jej mieszkańcami. Oczywiście najcenniejsze są elementy naturalne i prawdziwe, niemniej moda na rustykalność tak się upowszechniła, ze w dobrym tonie jest posiadanie w nowoczesnym domu choćby udanej podróbki, co podpowiadamy wszystkim, którzy zastanawiają się, czy takie grabie, wialnie lub sieczkarnie porąbać i oddać na złom, czy jednak może niekoniecznie. Informujemy – to jest prawdziwy skarb!)

To nie jest zwyczajna wieś

To WOLIMIERZ!

O Wolimierzu pisaliśmy, piszemy i pisać będziemy – to jest miejscowość, która zaskakuje nas za każdym tu powrotem. W przeliczeniu na liczbę mieszkańców jest tu nieproporcjonalnie wielu ludzi niespokojnych duchem, jak można nazywać artystów. Artyści podejmują się z definicji działań absolutnie niepraktycznych, za to zdecydowanie przyciągających uwagę o zadają sobie wiele trudu, by ogromnym wysiłkiem stworzyć coś, co wygląda inaczej, niż to samo wykonane technikami standardowymi i mniejszym kosztem oraz nakładem sił.

Tak w Wolimierzu powstał jedyny na Pogórzu Izerskim przystanek PKS stylizowany na starą chałupę przysłupowo-szachulcową.

Podczas ostatniej wizyty pod kościołem w Wolimierzu zauważyliśmy rowery. Oczywiście – zgodnie z logiką Wolimierza są to jednoślady, na których nikt już nigdy i za żadne skarby nie pojedzie. Alee wszyscy przejeżdżający obok z najwyższą ciekawością będą się tym pojazdom przyglądać, bo po prostu przykuwają wzrok feerią barw. Nie wiadomo, ile osób jeździ tu rowerami, z naszych obserwacji wynika, że wielu zamożniejszych mieszkańców dysponuje raczej land-roverami, ale wolimierskie rowery o wściekłych barwach każdemu wbiją się w pamięć.

A my czekamy (nie)cierpliwie na kolejną para-rowerową atrakcję Wolimierza, którą widzieliśmy już na rysunkach, ale jeszcze się nie pojawiła w rzeczywistości. Otóż jest to rodzaj ryksza, przy której siedzi (i pedałuje, nadając jej pęd) kilku cyklistów. Trzon ryksza stanowi beczka z piwem czeskim (to ten pojazd ma jeździć po ścieżce rowerowej prowadzącej do Czech i tam być tankowany, z tym, że ścieżka jeszcze nie powstała).

Mamy pewne obawy, że ta ryksza też nie powstanie i to z dwóch co najmniej powodów. Po pierwsze cykliści popijający piwo, nawet czeskie zostaną szybko spacyfikowani przez policjantów (polskich) i zostaną im odebrane prawa jazdy upoważniające do kierowania land-roverami. Po drugie – ryksza z piwem jest na tyle konkretnym wynalazkiem, że artyści wolimierscy raczej się jej budową nie zainteresują, właśnie ze względu na to, że jest nazbyt praktyczna.

Dlatego – póki co – możemy się cieszyć bez przeszkód i obaw widokiem kolorowych rowerów.

Stoi pociąg. Do piłki.

Na boisku w Mikułowej (gmina Sulików) stoją dwie bramki i to jest widomy znak, że teren winien służyć kochanej piłce kopanej. Stan traw z kolei wskazuje, że ten teren nie może służyć nawet krowom, bo z pewnością z tych wysuszonych chwastów, wybujałych na metr z hakiem dla krów pożytku nie ma. Widać też „szatnie”, które były dawniej wagonami kolejowymi i widać też ławki dla zawodników rezerwy, które nie wiadomo, czym były, ale wiadomo, że są ruiną.

Wiemy, jak wiele dobrego dzieje się w Mikułowej i jesteśmy pełni podziwu i szacunku dla licznych podejmowanych tu inicjatyw. Potrzebna jest – naszym zdaniem – jeszcze jedna. Ktoś powinien zlikwidować cały ten śmietnik, który był boiskiem, żeby nie burzyć dobrego wizerunku sołectwa.

ZAGADKA: Co to jest? Gdzie to jest?

Autor pierwszej poprawnej odpowiedzi otrzyma nagrodę książkową.

Oszczędzamy? Na rozumie?

Wola Augustowska, gmina Mirsk. Jakiś – pożal się Boże – „racjonalizator” postanowił zaoszczędzić na słupku metalowym przy oznaczeniu miejsca ulokowania przystanku PKS. Stosowną tablicę po prostu przybił do drzewa. Nawet się specjalnie nie wstydził swojego eko-wandalizmu, bo dumnie zaznaczył (czego na zdjęciu w gazecie może nie widać), że tę linię i ten przystanek obsługuje PKS Lubań.

Naszym zdaniem byłoby lepiej, gdyby tym młotkiem, którym przybijał tablicę do żywego drzewa, najpierw sam puknął się w głowę. Może wstrząsnąłby tymi kilkoma komórkami, które się gdzieś tam powinny plątać?

Między Bogiem a prawdą...

Gdyby starać się rozumieć tę sentencję zgodnie z jej logiką, to zakrawa ona na obrazoburstwo, bowiem można zrozumieć, że Bóg jest przeciwieństwem prawdy, a coś jeszcze jest „pomiędzy”... czy takie są intencje? Przecież od czasu do czasu tak właśnie mówią nawet szanowani księża! Jak to więc należy rozumieć?

– Rzeczywiście – przyznają językoznawcy – jest to powiedzenie po prostu nonsensowne. I zupełnie błędnie skonstruowane. Ci, którzy tego określenia używają starają się interpretować je tak samo, jakby mówili „w istocie rzeczy”, „w rzeczy samej”, bądź po prostu – „naprawdę”, wzywając niemal Boga na świadka prawdziwości wypowiadanych wcześniej, czy później słów.

Katechizm Kościoła Katolickiego (oficjalny dokument Kościoła) naucza, że to „Bóg jest samą prawdą”, więc nie można pisać, czy mówić „między Bogiem a prawdą”, jakby coś tam się jeszcze zmieściło, skoro Bóg i prawda – to jedność.

Powiedzenie „między Bogiem a prawdą”, zakłada biegunowość obu tych zjawisk, więc – logicznie rzecz biorąc – zakłada, że na jakiejś osi znajduje się prawda, a na jej drugim końcu, tam, gdzie miejsce dla fałszu – Bóg.

A skąd się to wzięło „między Bogiem a prawdą”? Może z tego, że dawniej mówiono „Bogiem a prawdą”, czyli – w tamtym rozumieniu składni – „Bogiem i prawdą”, potwierdzając tym samym tożsamość obu tych zjawisk. Później ludzie, „dla poprawy czytelności”, zaczęli dodawać słowo „między”, co oznaczało wręcz zaprzeczenie pierwotnego określenia.

Autor dziękuje dr Maciejowi Malinowskiemu z „Obcego Języka Polskiego” za podpowiedź co do źródła, w którym można szukać rozwikłania tej zagadki .

Pion i poziom

Przywykliśmy uważać, że chmury są kłębiaste i jakoś tak skosmacone. W najgorszym przypadku – drobne baranki. Najczęściej jednak mają obły, krągły kształt. Otóż nie zawsze i nie wszędzie. Nad Radoniowem zauważyliśmy chmurę, która miała idealnie prostą podstawę, ciągnącą się na dystansie wielu kilometrów, od Śnieżki w tle, aż do Szrenicy. Sfotografowaliśmy jej fragment, żeby dać czytelny punkt odniesienia (z lewej – wieża kościoła w Radoniowie). Zawsze podejrzewaliśmy, że na Pogórzu Izerskim jest coś dziwnego, ale sądziliśmy że dziwactwa dotyczą ludzi, a nie nieba. Okazuje się, że i z nim coś jest nie tak. A o opinię na temat chmur poprosiliśmy klimatologa – w kolejnym wydaniu „Ech” opublikujemy z nim rozmowę na temat tego, co nad głowami.